

# PLUSZCZ

*Spółeczeństwo Literackie Ilustrowany Tygodnik Kobiety*

ROK LXIV

WARSZAWA, DNIA 4 LIPCA 1931 ROKU.

NR. 27.

TREŚĆ NUMERU: Sugestia utrapienia — *Natalja Jastrzębska*. Matura, czy szkoła zawodowa — *Jadwiga Prażmowska*. Poezje: „Posilek“ — *Jan Szczarwaj*. Za białą ścianą (szkie powieściowy) — *Jadwiga Kwiecińska-Korczakowska*. W paryskiej Sofjówce — *Aura Wyleżyńska*. Uroczystości padewskie ku czci św. Antoniego — *Wacław Husarski*. Zielone bogi i ich czary — *Wanda Borudzka*. Powiernik przy telefonie — *Jadwiga Kramczyńska*. Z teatrów — *S. P. O.* Kobieta w świetle i w domu. Nasza Mównica. Własna siedziba a gospodarstwo domowe — *Iza Mandukoma*. Szminki — *Mary*. Z cyklu: „Jak dorabiać“ — *M. Dobrowolska*. O konserwowaniu jaj na zimę — *Pani Elżbieta*. Obiady dla pracującej inteligencji — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Kolorowy dodatek „Mody i roboty“. Arkusz wzorów.

## SUGESTJA UTRAPIENIA

Co to jest? I czy to jest możliwe? A któż chciałby sugerować sobie, czy innym, rzecz tak smutną i psującą życie!

Przecież niezadowolenie, utrapienie, to rzeczy od nas niezależne, przychodzące z zewnątrz.

Tak myślimy ogólnie i myślimy błędnie. Najlepszym tego dowodem jest rzeczywistość obecna.

Cały świat przechodzi straszliwą katastrofę gospodarczo-finansową; Niemcy stoją w obliczu takiego bankructwa, że od najbliższego miesiąca groziło im nie obniżenie wynagrodzenia swoich urzędników, ale niewypłacenie im poborów wogóle! Anglja ma oficjalnie 5<sup>1</sup>/<sub>2</sub> miliona bezrobotnych (naprawdę więcej), amerykańskie bankructwa sięgają cyfr astronomicznych, a jednak nad żadnym z tych krajów nie panuje taki okres psychiczny, jak nad Polską.

Ludzie borykają się z życiem, pracują, bankrutują nawet, z uczuciem, że wszystko to są perypetje istnienia osobiste i ogólne, ale że nad nimi stoi zawsze silna ich osobowość i psychika ich narodu — siła, której nic nie naruszy i do której mają zaufanie.

Rzeczy zewnętrzne są od tego, żeby je tą siłą zwalczać.

U nas, przeciwnie: u nas „ja“, jako jednostka, „my“, jako naród, jakbyśmy nic nie znaczyli! Każdą przeszkodę, każdy trudny okres witamy, jak coś, co koniecznie musi zapanować nad nami i wywołać w nas przygnębienie. W ten właśnie sposób sugerujemy sobie utrapienie.

Jest mi ciężko, zarabiam mniej, nie starczy mi na nową suknię, lepsze mieszkanie, na rozrywkę. Jest mi nawet tak ciężko, że niezbędnego (wiele razy po-

zornie niezbędnego) muszę sobie odmówić. A więc będę myślał, jak radzić. Niema na świecie położeń bez wyjścia, jeśli potrafimy odrzucić wiele wymagań konwenansu, umowy, poświęcić rzeczy nieistotne i przyjąć zło mniejsze, dla uniknięcia większego.

Będę myślała, jak zara...

Nie, nic nie będę myślała! Jestem tak zgnębiona (zgnębiony), że myśleć nie mogę.

A narzekać?

Zawsze.

I to jest sugestia utrapienia.

Że ta sugestia nie zależy wyłącznie od zewnętrznych, naprawdę złych warunków, możemy zaobserwować na każdym kroku. Pomimo wszystkich klęsk gospodarczych, sporo jest jednak jeszcze w Polsce ludzi, którzy mają z czego żyć. Słyszałam nawet o osobach, które posiadają uczciwe zapasy dolarów w safes'ach. Myślicie, że są zadowoleni? Gdzież tam! ci najwięcej narzekają.

Państwo \*\*\* przeprowadzili się.

Mieszkają wogóle na Bednarskiej, poco? Niewiadomo. Mając pieniądze, można łatwo mieszkać gdzie indziej, ale ta rodzina nie posiada zmysłu dobrej przestrzeni, światła i miłego otoczenia. Mieszkanie było parterowe, w podwórzu, ciemne, paskudne. Mają teraz na piętrze, z kawałeczkiem widoku na Wisłę i kilka drzew ogrodu, balkon, trochę słońca.

— Ależ wam tu będzie o wiele przyjemniej!

— Skądże! Tu jest okropnie, cały lokal trzeba odnowić (będzie czysto, nieprawda, co za utrapienie!), tyle pracy, tyle kosztu!

— Ale macie na ten koszt.

— To wyniesie sumy! Oł, w tej ścianie były

w tamtem mieszkaniu drzwi, a tu jest framuga, trzeba do niej portjery, zaraz ze trzysta złotych!

— Co!! Co takiego? A sześć metrów ślicznej tkaniny przemysłu ludowego, po kilka złotych metr, to nie łaska?

Załóżę się, że czytelniczki nie uwierzą w możliwość istnienia takich osobników. Z ręką na sercu zapewniam, że fakt jest w najdrobniejszych szczegółach autentyczny, a zdarzył się kilka dni temu!

Cóż zrobić! są tacy ludzie, więcej: jest ich dużo, dużo za bardzo, jak mówią murzyni.

Inny przykład: młody człowiek, niedawno rozpoczął karierę zawodową, bardzo zdolny, zarabia przyzwoicie i nie tylko pieniądze, ale dobrą opinię i uznanie.

Nastroszony, ponury, chodząca czarna melancholja.

— Kochasz się nieszczęśliwie, czy co u licha?

Sięga do portfela, aha, zaraz pokaże fotografię tej „przyczyny“ złego humoru.

Co, aż tyle zdjąć?

— No, niech Pani patrzy, jak oni tam żyją, co za kraj! Drapacze nieba nowojorskie, most na Hudsonie, Floryda. To jest kraj, życie, cuda natury, wspaniałe tempo istnienia! Co za rozkosz być wszędzie, pojechać, zobaczyć, napić się tych wrażeń!... Niema sposobu! Człowiek przykuty tu do pracy, jak do taczki!

— A to zostań traperem, albo poławiaczem perel na morzach południowych, wolna droga!

Jeszcze inna rodzina: trzy osoby, matka-wdowa i dwóch synów. Mają kapitał skromny, ale wystarczający zupełnie na utrzymanie jednej osoby, matki, która zresztą tak idealnie prowadzi gospodarstwo, że na koszt swego utrzymania zarabia i jeszcze coś zostaje. Obaj synowie pracują. Jeden ma stanowisko, z którego mógłby już utrzymać rodzinę, drugi stracił posadę przed miesiącem.

Desperują tak, jakby napewno *nie* desperowali, gdyby już dziś nie mieli na obiad.

To jest ciężka choroba, sugestia utrapienia, która napada ludzi każdego wieku, stanowiska i stanu finansowego.

Cokolwiek pójdzie nie po myśli — gotowe nieszczęście. A zwykle tak się jakoś dziwnie składa, że ludziom tego typu wszystko idzie nie po myśli.

Dlaczego?

Aby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba byłoby zdać sobie sprawę z tego, czym jest szczęście.

Definicja bardzo trudna i sporo filozofów kusiło się o nią bezskutecznie.

Zdrowie, majątek, powodzenie w miłości, zadowolenie gustów i pragnień?

Chyba nie. Uszczerbek na zdrowiu, majątku i innych rzeczach, niemożność zaspokojenia pragnień wywołuje uczucie niezadowolenia, *nieszczęście*, ale samo posiadanie najlepszych nawet warunków życia, szczęścia jeszcze nie daje.

Shczęście, to tylko zadowolenie wewnętrzne i spokojny wzrok, którym patrzymy na siebie i swoje pragnienia, nawet wtedy, gdy nie wszystkie możemy zadowolić. Ja, jestem ja, które czuje, kocha, rozumie, któremu świat cały i wszystkie skarby jego dostępne są przez myśl wszechogarniającą, mądrą i mocną, a werunki zewnętrzne, to tylko dom mieszkalny i suknia istnienia. Możemy je zmieniać, poprawiać, albo zostawić, jak są, ale my musimy panować nad nimi, wtedy będzie dobrze; jeżeli natomiast dom, suknia, obiad zaczną rządzić *nami*, będzie zawsze źle.

Nie znaczy to wcale, aby poddawać się istnieniu, przeciwnie: każdy powinien dążyć do osiągnięcia tego, czego pragnie, do polepszenia bytu materialnego, do stworzenia sobie najpomyślniejszych warunków rozwoju, ale nie wolno robić tego, hodując po drodze kultury utrapienia.

Bo to jest najpewniejsza droga do popsucia sobie życia i właśnie *nie doprowadzenia* nigdy swoich zamiarów do skutku.

Trzeba, dziś więcej, niż kiedykolwiek, zwalczać uczucie niezadowolenia, trzeba tępić trapienie się rzeczami mniejszej wagi, aby móc żyć i pracować, gdyż życie nie jest łatwe. Ale właśnie dlatego, że nie jest łatwe, trzeba do niego siły i psychiki wewnętrznego opanowania, która *jedynie i wyłącznie daje zadowolenie*. Przypomnijmy sobie czasy niedawne, wojny. Ile wtedy było strat, jakie straszne przechodziliśmy koleje, ilu rzeczy brakowało i w jakich warunkach zewnętrznych żyliśmy. Ale wtedy ogrom wydarzeń tak podziałał, że nie starczyło czasu na sugerowanie się utrapieniem.

Zrezygnowaliśmy spokojnie nie tylko z drobiazków, ale z najistotniejszych potrzeb. I coż się okazało: przeżyliśmy i przekonaliśmy się, że wcale nie to, co wówczas najwyżej ceniliśmy, było najważniejsze.

A dziś, gdy położenie jest o wiele lepsze, rozpostarła się nad nami sugestia utrapienia.

Ludzi, którzy, mając dobre warunki istnienia, poddają się tej sugestji, trzeba by oddać do domu zdrowia, albo, co byłoby jeszcze lepiej, ale co jest, niestety, niemożliwe, postawić ich na jakiś czas w położeniu naprawdę uciążliwym: wtedy zrozumieliby najdokładniej, jakimi niemądremi drobiazgami psuli sobie życie.

Ale i ci, którym naprawdę życie nie idzie po rózach, ci, więcej nawet, niż tamci, jako pierwszą zasadę powinni postawić sobie niestwarzanie sugestji utrapienia. Tylko wtedy wybrną, tylko wtedy polepszą swoje położenie. Zarówno jednostka, jak i cały naród może żyć nawet długi czas w gorszych warunkach materialnych, ale w przygnębieniu moralnym, w zatrutem powietrzu bezradnego i wyolbrzymiającego te warunki utrapienia, każdy się udusi. Do poprawy czegokolwiek, do zaradzenia złemu, do pracy i zwalczania trudności pierwszym warunkiem jest spokój oraz wiara w siebie i drugich. *Natalja Jastrzębska.*

# MATURA, CZY SZKOŁA ZAWODOWA

## II.

Trzeba się prócz tego liczyć z wymaganiami rynku pracy, *nie uważać tego jednak za wzgląd przeważający*, gdyż jest to krótkowzroczna polityka życiowa. Jeśli bowiem (przykład z warunków obecnych) w danej chwili trudno jest znaleźć posadę ogrodniczkę, a zapewnioną pracę ma kończąca pielęgniarstwo, to bynajmniej nie wystarczy, aby dziewczynę, niemającą zamiłowania do pielęgniarstwa, ani zainteresowań społecznych, kierować na pielęgniarstwo, czy higienistkę. Znajdzie ona wprawdzie pracę od razu, ale jeśli jej nie polubi, nie będzie nigdy pracownicą wybitną; więc za lat kilkanaście, gdy może dojść do nadprodukcji sił fachowych na tem polu i posady będą obsadzane na zasadzie konkurencji—jakaś nowa, młoda, ale z większym zamiłowaniem i zrozumieniem pracująca pielęgniarstwo może być uznana za lepszą i pozbawić ją miejsca.

Tak samo nie należy dziewczyny, która ma zamiłowanie do szycia, kierować na gorseciarstwo i ortopedję, jeśli nie posiada przytem cierpliwości i nie jest pedantycznie dokładna w robocie — ten bowiem zawód wymaga niesłychanej precyzji wykonania. Raczej będzie dla niej odpowiednia krawiecczyzna lub haft — zamiłowanie może wskazywać na ukryte zdolności twórcze, które pod właściwym kierunkiem zdolają się rozwinąć prędzej, niż dokładność, wpływająca raczej z charakteru.

Przy wyborze szkoły zawodowej najpierwszą i zasadniczą wskazówką będzie zamiłowanie. Często wskazówki mają charakter negatywny — wybitna niechęć do jakiegoś zawodu. Dopiero po dokonanych wyborze pracownia psychotechniczna może zbadać, czy zawód ten jest rzeczywiście odpowiedni dla zdolności i usposobienia danej jednostki.

Jeżeli wyodrębniłam z ogólnego zagadnienia kwestję szkół zawodowych żeńskich, to nie dlatego, że artykuł przeznaczony jest do kobiecego pisma: byłoby to wyodrębnienie sztuczne i niezyciowe, gdyż kobieta-matka jest równie zainteresowana w wyborze zawodu syna, jak córki. Jednak kwestja wyboru zawodu przez córkę przeważnie bywa trudniejsza. Wśród chłopców częste jest zjawisko, że albo cenzura zawiera w najlepszym razie same trójki, a zato młody inżynier zdobywa pierwsze miejsce na konkursie modeli aeroplanów lub łodzi, albo wszystkie stopnie są złe, z wyjątkiem jednego, ulubionego przedmiotu.

Dziewczęta uczą się bardziej równomiernie, ale mam wrażenie, iż niejednokrotnie zamiłowania ich nie mogą się wykazać na terenie szkolnym, ani w ramach, zakreślonych przez szkołę i współdziałające z nią instytucje (kółka samokształceniowe i t. p. organizacje). Tak często np. spotykane upodobanie do robót dekoracyjnych, obmyślenia sukienek i kapeluszy, jest

dowodem, jak wiele kobiet posiada zamiłowanie do zdobnictwa. Jesteśmy narodem nadzwyczaj uzdolnionym w tym kierunku. Dlaczego, zamiast rozwinąć się i wzmocnić, tyle zdolności kobiecych marnuje się na zapisywaniu przez 8 godzin dziennie bieżącej korespondencji do dziennika, lub przepisywaniu numerów kwitów i aktów — przy pracy, która prócz marnej pensji nie daje żadnego zadowolenia moralnego?!

Mam wrażenie, że problemat pracy zarobkowej kobiety zamężnej dałby się rozwikłać o wiele łatwiej, gdyby praca rękodzielnicza dla kobiet bardziej była rozpowszechniona. Wszakże najmniejsza pracownia w domu da finansowo conajmniej tyle, co podrzędna posada biurowa, a pozwoli na nieodrywanie się od dzieci i gospodarstwa, na czem zawsze dom źle wychodzi.

Jako przykład, przypomniało mi się pewne zdarzenie z przed kilku lat. Szukałam pracowni, w której zrobionoby mi maszynową mereżkę na poczekaniu. Wszłam do pierwszej, której szylt nawinął mi się po drodze. Przyjęła mnie sympatyczna, młoda osoba, obiecując b. uprzejmie, że zaraz robotę wykona. Od maszyny oderwał ją telefon i byłam mimowolnym świadkiem, jak umawiała się ze znajomymi na konkursy hipiczne, a później do pierwszorzędnej kawiarni. Zarówno akcent jej, jak ubranie i cały wygląd świadczył, że bezwarunkowo należała do sfery kulturalnej. Z rozmowy z nią dowiedziałam się, że ma maturę, ale woli pracować przy swojej maszynie w domu i bez żadnych zwierzchników, niż w biurze. Zarobek jej miesięczny wynosił tyle, co pensja b. dobrej maszynistki biurowej. Prawda, praca taka nie daje praw do emerytury, kasy chorych, płatnego urlopu, ale zato ma widoki rozwinięcia się w przedsiębiorstwo większe i dające większy dochód.

Znam przykład, gdzie kobieta zamężna zarabia modniarstwem tyle, co jej mąż urzędnik, i może co roku pozwolić sobie na wyjazd z dziećmi na 3 miesiące. Naturalnie, że nie każda osoba, zajmująca się hafciarstwem, koronkarstwem, szyciem bielizny, dojdzie napewno, od razu i bez przeszkód do takich rezultatów. W tej dziedzinie walka o byt jest bardzo ostra. Nie mniej jednak owoczy pęd w kierunku pracy biurowej, stanowczo nieodpowiedniej dla kobiet, a za marne pieniądze odrywającej je od naturalnego warsztatu pracy — domu — jest zjawiskiem bezwzględnie ujemnym.

Szkoły zawodowe, zarówno te, które przygotowują do pracy w samodzielnych warsztatach, jak te, które dają przygotowanie do zawodów, specjalnie nadających się dla kobiet, są u nas tak dobrze postawione, że naprawdę ogół kobiecy powinien się nad tem zastanowić głębiej, niż to dotychczas czyni.

Jadwiga Prażmorska.

JAN SZCZAWIEJ.

## P O S I Ł E K

Rozlały się szeroka, żywiolowa rzeka  
Lipcorve ponad ziemią skwarą i upały,  
Słoneczne plamy ciała spracowane pieką,  
Od skwaru modrym chabrom oczy posmutniały.

Po ciężkiej, zmudnej pracy pod gorącym niebem,  
Gdy dźwiga się na barkach dzień, jak ciężar krzyża,  
W spokoju zostawiają ludzie zgrzaną glebę,  
Bo się najśodsza chwila odpoczynku zbliża.

I jakby wiedział o tem rój kłębiastych chmurek  
Nad głową stanął cicho i przestonił słońce,  
Buchnęły z mokrym potem dziękczynienia w górę,  
Że nagle się powietrze stało mniej gorące.

Raduje się, że spocznie przysmażona gleba,  
Radują się zniwiarze z dobrych darów bożych,  
Że dobrze pod półkopkiem się: czarnego chleba  
Z chłodzącym, zsiadłem mlekiem w czas posiłku spożył!



## Z A B I A Ł Ą Ś C I A N Ą

(szkic powieściowy)

4)

Ach, więc to tak? Czyż to możliwe? Papa! (uśmiechnięty, grzeczny). Może wyrzucić tę złą kobietę, może powiedzieć? Czuje się całą śmieszność. To już nic nie pomoże (tyle lat!). Rodzice. Właśnie ci najbliżsi! Jak z romansu. Kto jest zły, a kto nieszczęśliwy? Więc tak wygląda najbliższe życie? Więc Marek o tem wiedział i może być wesoły? Ta obca, pieszcząca się kobieta, to pewno... i tamta... A matka?

Rena znieruchomiała w wytężonej pracy dociekań. Niespodzianie, pod dachem rodzinnego domu życie postawiło jej pierwszą zasadzkę. Jeszcze drży od nieświadomionego lęku, od serdecznego oburzenia. Ale już wie, już wie sama — takim jest życie.

Spuściła głowę. Toczyły się gorzkie, zaczajone minuty pierwszego poznania.

\*

Oczu matki nie widać. Tylko białawy sierp twarzy, opartej o nieruchomy kształt ganku. I dlatego łatwiej jest mówić, że nie widać tych oczu.

Rozmawiają już długo; Rena postanowiła wszystko wiedzieć; nietylko przez własne oczy, ale i od źródła.

— ...Kochałam go, był piękny, zachwycający... obiecywał szczęście...

— Czy był podobny do Marka?

— Tak, bardzo... I przecież ja nie wtedy nie wiedziałam... i to się stało... a potem, czułam, przestał mnie kochać...

— Więc czemu zostałaś jego żoną?

— ...Ach, Renuś! Musiałam. Byłam... ja może nie powinnam ci tego... ale chcę, żebyś ty wiedziała... otóż Marek...

— Marek?!

— ...tak, i dlatego to była jego szlachetność, ofiara, łaska... całe życie jedna tortura... inne kobiety... a ja przecież pragnęłam miłości, chciałam...

Drżący głos załamuje się w bezradnym płaczu.

Rena gładzi dłoń matki pośpiesznie, nerwowo. Jeszcze nie można opanować się samej. Tyle nowych rzeczy! Cała żywa powieść. Ostatecznie wiedziało się o takich sprawach w teorji. Ale, żeby ona? Matka? Rodzice?

— Nie płacz, mamo, nie denerwuj się — serdeczny, instynktowny bunt pokrzywdzonej kobiecości wznosi Renę na wyżyny współczucia.

Matka szepcze długo, gorliwie. Rozpamiętuje każdy odcinek przeszłości (niekoniecznie najważniejsze rzeczy). Jakby dla samej siebie.

Jest trochę przykro słuchać tych zwierzeń. Czasem tak, jakby do ostrych kamyczków dotykało się zranionym palcem. Ale to już jest lepsze, niż patrzeć w rozpalone, przestraszone źrenice ojca, gdy wtedy wołał, nieswoim głosem:

— Rena?!... ty... tutaj?!...

Jeszcze zimno od tamtego głosu i od tamtego zła.

Smutek matki nie jest tak bliski. Przez to, że jest nie do naprawienia, że jest przeszłością. Można współczuć, zrozumieć, pocieszyć, ale nie można nic poradzić. Ale tamto, ten grzech z domu, jest, trwa, boli.

— Nie płacz, matuś — pierwsze czułe imię (dużo wstydu za dawną obojętność); wargi całują mokre od łez oczy.

Nisko, nad koronami drzew przyglądają się ludziom gwiazdy. Padają ciężko ważne słowa z ust kobiety, która przeszła swój gościniec. Tężeje kroplami

świadomość młodej dziewczyny. Spotkały się na skrzyżowaniu dróg i podają sobie ręce w pierwszym uścisku zrozumienia. Rena bardzo żałuje matki, której już nie czeka gościniec życia. Ale prawdę i nowe wrażenia chłonie dla siebie, na swój użytek. To, jak trzeba iść samej naprzód — jest ważniejsze. Układa sobie zasłyszane rzeczy równo, jasno w nowej świadomości. I nagle myśli: — Jakie to wszystko niepodobne do wiedzy szkoły, jakie tamto wszystko nieważne! Najtrudniej jest umieć pójść gościńcem, który prowadzi od drzwi maturo.

— Tak, moja Reniu, życie daje niespodzianki — kończy wypowiedziana matka.

Biały sierp twarzy opadł w dół.

Nie patrzy już w gwiazdy.

\*

Rozlewna melodia tanga sączy się leniwie, kropla po kropli. Przepelnia słodyczą gardło, i tak już pełne przymilnych, natrętnych dźwięków tanecznych.

Trzeba dać odpocząć zwarjowanym mięśniom nóg.

— Tu jest, jak w komnacie maharadży — dziwi się Zocha.

Obtulne, chłonne objęcia tapczanu, wypuszone barwnymi sercami poduszek, trzymają niemal przemocą zmęczone ramiona, drżące nogi. Mrużą się oczy, zapatrzone w tęczowe smużki światel, ciekące od tajemniczej, wschodniej lampy.

— To jest pokój Niny (mateczki), dała mi go na dziś, na imieniny — objaśnia Jola. Białe, długie ramiona podparły ciężką od myśli głowę. Pod czarnymi skrzydłami włosów dwa wąskie pasemka brwi spędzają z wypukłego czoła bezimienną troskę.

Zocha przysiadła na stołeczku. Kiwa śmiesznie złotą czuprynką. Opowiada wszystkim po raz dziesiąty:

— Raniutko sprzątam, idę na miasto, szykuję obiad; potem wraca Olek... (pucołowaty mąż — student).

I dodaje poważnie:

— Gdy już przyjdzie małe, wtedy wszystko się zmieni.

Rena chce zrozumieć, chce wetrzeć w świadomość ten niepokój, ten podziw. Nowe, tłuste ziarno człowieczego siewu. Ach, więc to można tak? Najpierw z trudem, głupiutko przelać z klasy do klasy, a potem nagle przeskoczyć nieznaną próg — małżeństwo i promieniować uśmiechem: „jestem szczęśliwa“

Więc można tak prędko ułożyć sobie życie w maleńkie ramki: dwa pokoiki, dziecko, szczęście ptaków...

— Tańczysz za dużo, nie przemęczaj się — troszczy się Jola.

Nie mogą pomieścić w słowach, w dłoniach tej podświadomej, nabożnej czułości dla macierzyństwa.

A przytem Renie wstydlivość rumiana i ciężka

obejmuje serce. Ta dawna, zupełnie pensjonarska wstydlivość, która nie śmie powiedzieć: poczęcie.

Idą po sobie godziny prawd i skutków. Nie wypada zanadto się dziwić. Trzeba po dorosłemu lekceważyć: no, cóż — życie!

Na cichej, dywanowej podłodze przyczaiły się niziutkie taborety. Z omroczonego kąta pachnie kłęb białych, skręconych w bólu chryzantem. Pachnie także uperfumowana nieobecność pani Niny. Rozkosznie jest zapomnieć o codziennej objacie małych zgryzot: wydeptany asfalt do biura, humory ojca, słodka bolesność matki, zwarjowany bridge Marka. Tutaj można myśleć nieuważnie, gadać o niczem, byleby nabrać pełne garście szeleszczących uśmiechów. Więc: Zocha przyciągnęła z salonu Lolkę i lotnika Czyńskiego (żółty kołnierz, żółte oczy). Pogubili, postrzasali po drodze perełki śmiechu, różowe korale humoru. Szary knotek dymu wdarł się w błękitną smużkę lampy. Nieśmieszne dowcipy, szklana bańka pustoty:

— Ach, będę girl'ą w Morskiem Oku! — (Lolka).

— Stefan, idź spać, na ciebie czas! — (Marek).

— Świat jest tylko dla kobiet! — (lotnik).

— Smutna Jolanto, czekasz tu na królewicza?... (Zocha).

Tak, Jola czeka na królewicza. Patrzy na nich, jakby nie widząc. Widzi oczy, które są daleko (czepiają się pożegnalnym spojrzeniem śnieżnych szczytów Alp).

Rena ją rozumie. Zna ich wszystkich. Naiwną mężatkę Zoche, motyla-Lolkę („rytmika, plastyka, sport“), mdłą tęsknotę Joli, bezczelny wdzięk brata, popisową głupotę Czyńskiego. Rozumie społeczne idee Wandy (medycyna), samodzielność i wytrwałość Stefana.

Najmniej rozumie siebie. Tyle różnorakich odchyleń, zmiennych chęci, pierzastych wrażeń!... Bo i teraz: usta schną, gdy zataczają się chwytne, oddane wezwania oberka... gdy się poddać „raz dokoła, raz dokoła“, przegiąć się zlekka w tył...

A drugi głos upiera się bez sensu:

— Nie tańcz z żółtym lotnikiem, który ma złe oczy.

— Nie, nie dziękuję...

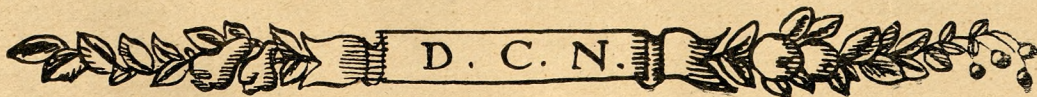
Przedzielona troskliwie głowa niknie za kotarą. No, i teraz już zazdrości się bliskości ciepłego oddechu, który tam rozdmuchuje jasne loczki Loli.

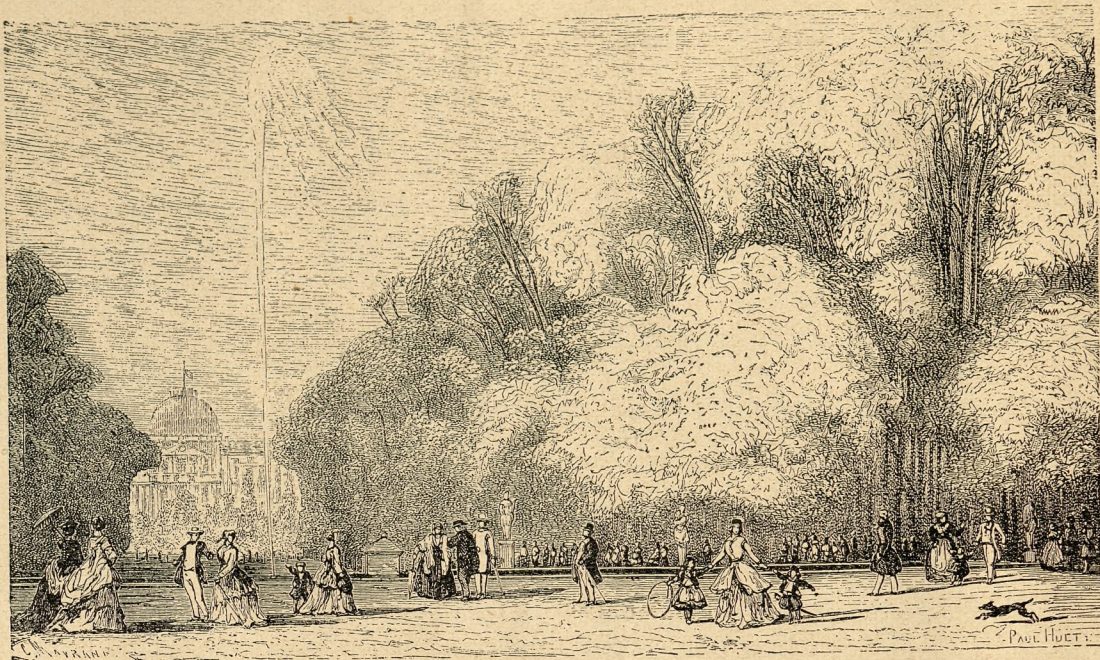
Jola wdycha:

— Pomyśl tylko: już drugi rok...

...O, to było jeszcze dawniej. Ta matura. Teraz już na codzień: Remington, komunikaty, „linguarum schola“, „polityka gospodarki krajowej“, wydeptane schodki do biura. Za szybami nowości wydawnicze, ułamkiem godzin — kino. Wieczorem „związek sprzyjęzonych“, „bratnia pomoc“, odczyty.

Jadwiga Kwiecińska-Korczakowska





W Tuilerjach.

## W PARYSKIEJ SOFJÓWCE

*Garçon, une glace vanille!*

Pani Zofja bardzo lubiła francuskie azaleje, a przede wszystkim róże. Zarośla różane Smyrny i Sofji ustąpić muszą pierwszeństwa rabatom paryskim: tam wszystkie są jednakie, tu z tego samego krzaku inny też, choć pokrewny, kwiat wykwita. Ogrodnicy, jak pedagodzy, którzy dla swych wychowanków o najrzadszych marzą cnotach, marzyli wybrednie o nowych kształtach i barwach. Tylko mistycznej róży nie szukają ogrodnicy, pewni, iż kolorów nieba nie zaszczipią w to, co ziemia wyda. Ona jednak tęskniła za nieznanym kwiatem, choć wiedziała, iż nie jest on dany jej pokoleniu, które wynalazło maszynę parową i telegrafy elektryczne. Wierzyła, iż bliski jest wynalazek maszyn do pisania, a może nawet do myślenia, że, naprzekór wiatrom, ręka ludzka ujmie kierunek balonu i że czeka świat wiele jeszcze, bardzo wiele niespodzianek...

Następnemu po niej pokoleniu dane były nawet kwiaty o nieswoich barwach. Ale też nie przyniosły one szczęścia Oscarowi Wilde.

Zofja niedawno była na ekspozycji kwiatów w Salonie Przemysłowym; wystawa ta miała na celu karmić ducha i ciało, dając pokazy kwiatów i owoców. Co krok napotyka się tu, równie niedobre, jak między ludźmi, a żyjące ze sobą w pozornej zgodzie, pary: konwalję i burak, marchew i jaśmin, czosnek z ananase. Kwiaty dla pani Zofji — to nietylko radość oczu: to przypomnienie ludzkich wiar i dziwnych ludzkich przesądów.

Mandragora, jak nasza paproć, wielka czarodziejka — dzierży w swej mocy szczęście i rozpacz człowieka. Archimenida, jedna z najzacniejszych obywaterek roślinnego państwa, którą Temis sprawiedliwa na ziemię zesłała z misją wykrycia zbrodni. Kto ukąsi serca jej kawałek, wnet, snem żelaznym zdjęty, grzechy swe utajone wypowie. Dictamnus, z rodu jest krzewu ognistego; Vesicarya, roślina bez woni; Euforbija, tak szpetna, iż Dante, przełknięty, jak od

głowy Meduzy, oczy od niej odwrócił; wszystkie te rośliny związane z życiem ludzkości tajemniczymi węzły. Dnie lata przypomnialy jej letnie dnie, spędzone z ojcem w cieniu jego nauki, wesoło zbierane zielniki i pierwsze, z sentymentem, między kartami książki zasuszone płatki...

Znała wówczas wszystkie nasze polne rośliny, ich łacińskie nazwy, i wiedziała, że gdzieindziej jeszcze piękniejsze są i bujniejsze. Ale nie wiedziała, że kiedyś tęsknić będzie za niezapominajką z nad Liwca. Że zapach sosen przesładować ją będzie w Lasku Bułońskim i że szukać będzie dębów, na piaskach rosnących. Że dzikie nasze, o mocnym zapachu różowo-fioletowym goździki śnić się będą jej oczom, że tytonie w Jardin des Plantes pełne będą woni lipcowych nocy młodziutkich jej lat.

Z tamtych czasów wyniosła miłość do każdego dnia. Dziewczynka budziła się z niepokojem, jaka dziś będzie pogoda, czy usiadzie z ojcem pod parasolem drzew, aby słuchać jego mądrych nauk, czy pójdzie z nim między miedzami, aby patrzeć na świat boży zachwytem pierwszej naiwnej młodości. Kobieta odsuwała ciężkie u okna zasłony i patrzyła na Paryż bliski a daleki, znacząc oczyma drogi, które dnia tego nakreślić jej wypadnie. Na drogach tych znajdzie chwilę prawdziwego zachwyty dojrzałej i pewnej siebie młodości, czy mądrości skrawek dojrzy?

Nadzieja ta nigdy jej nie zawiodła, jeśli stała oko w oko z przyrodą. Ubolewała nieraz, czemu człowiek, którego zajmuje tyle marnych wypadków, nie znajduje prawdziwej rozkoszy w podziwianiu tego, co piękne i wieczne?

Każdy zachował w żywej pamięci wrażenie najdrobniejszej uciechy; nikt pomiędzy rozkosze nie policzył chwili, w której sama natura kochać się kazała, w której czarowna noc szeptała zachwyty, a różowy promień jutrzeńki, wyrwawszy go z samolubnego koła, zanurzał w atmosferze miłości i szczęścia, w jakie

zwykł wtrącać powrót światła. Każdy z nas miał dzień, w którym słońce wydawało mu się piękniejsze, niż innego dnia w życiu, ale czyż myślał wtedy o słońcu? Człowiek pobiegł za fortuną, choć nieprzebrane źródło radości tryska przez wszystkie pory natury.

Powietrze, którem oddychała, słońce, na które patrzyła, wlewało w Zofję siły i życie, nasuwało świetne pomysły i piękne czyny; burza ją przestraszała i dręczyła ducha, a ślota pozbawiała wszelkiej jasności, energii i ochoty do pracy. Czowała się równie ściśle z naturą połączona, jak drzewo i zwierzę. Natura jest naszą przewodniczką, której bezwiednie słuchamy.

Postanowiła pojechać do Lasku Bulońskiego. Lasek Buloński w ciągu kilku miesięcy za cenę trzystu tysięcy franków, z gładkiej, błotnistej powierzchni zamieniony został na gaje, jeziora, łąki i kaskady.

Długo i samotnie chodziła po lasku. Przyglądała się najpierw sobie, a potem ludziom. Jak pili sorbety i stawali do fotografii; jak panie Bovary koronkami falban zamiatały kurz z ulic; jak panowie w długich, kolorowych surdutach i wysokich lśniących cylindrach, z cienkimi laskami o gałkach z kości słoniowej, melancholijnie się przechadzali wśród drzew cienia. Czyż może być lepsze schronienie dla duszy, której już nie nęci sława i złudne nie przywabiają oczy? Oczy, patrzące z pod wielkiego ronda maltańskiego kapelusza.

Usiadła na ławce kamiennej, która zdawała się być pokryciem etruskiego grobu. Wieczór już był zapadł i miesiąc — jak na stepach czerwony — wypłynął na niebo. Czas wracać do domu. Za obrębem ogrodu księżyc zbladł, bo gaz, naśmiewając się z jego jasności, a giorno oświecał kawiarnie, aż pod markizy zaglądając, i złote napisy sklepowe błyszczały, jak iluminacja.

Pani Zofja, ciekawa, jak każdy mieszkaniec Paryża, zatrzymała się przy grupce ludzi, słuchających czyjegoś wywodu. Zajaśniała na niebie kometa, którą od czasów Ptolomeusza astronomowie stracili z oczu. Odnalazł ją niedawno, przypadkiem, pasterz, pasący owce na górze i naprowadził na jej ślad mędrców tego świata. A że nauka w Paryżu szybko z pracowni na ulicę się przenosi, więc ambulansowi uczeni za dwa su przez ręczny teleskop ją pokazują, opowiadają, iż gdy tylko zbliży się do ziemi, spali ją na popiół. Wierzą im ludzie łatwej wiary, ale przekłete skoczybruki, co,

psotą żyjąc, wszystko, najpoważniejsze w żart obracając, twierdzić się ośmielili, że to kartofle, gotowane rano, wieczorem przez szkiełko pokazują!

Gdy Pani Zofja wróciła do siebie, nocny już rozpoczął się gwar. Dzienny wydaje się być mową miasta, nocny — jego oddychaniem — oddychaniem tyśiąca setek ludzi. Szatan, w walce nieustannej z tytułarną opiekunką Lutecji, Świętą Genowefą, najpotworniejsze jej pupilom nasuwa pomysły...

Stała w otwartym oknie.

Miasto kapało się w srebrnej lunie, kipiało weselem, a nad niem niebo w dwoistą ubrane szatę: po prawej stronie na czystym lazurze mrugały gwiazdy; na lewo nieruchomo zawisła czarna chmura, po niej błyskawice z niebywałą szybkością i oślepiającym blaskiem srebrne haftowały węże. Z czarnego boku zaczął iść grzmot, jak basowe rulady i akordy; bez jednej minuty przerwy trwał tak blisko godzinę, chwilami nawet do rotowego ognia, to do działowych strzałów podobny. Poczem przyszedł lekki, rozkoszny, z południa wiejący wiaterek i rozdmuchał chmury, nad miastem wiszące, ale jednocześnie zgasił połowę gwiazd na niebie. A nawet ową kometa.

Zofji, której w chwilach nadzwyczajnych wrażeń zawsze z serca do głowy płynęły, brylantowemi słowami wypowiedziane, wielkie myśli wieszczów, przysłała na pamięć strofa z „Króla Ducha“, której poetaby nie napisał, gdyby burzy takiej nie był widział:

„Ogromny szereg tych wymordowanych  
Poszedł. Myślałem, że duchy zobaczę,  
Gdzieś do łabędzi podobne rumianych,  
Od których jęczy powietrze i płacze...  
Albo że ze ścian, ogniem zapisanych,  
Wyjdą pająki z ogni... straszne tkacze!  
Na ściennych ogniach się swych zakolyszą  
I wyrok jakiś ognisty napiszą.

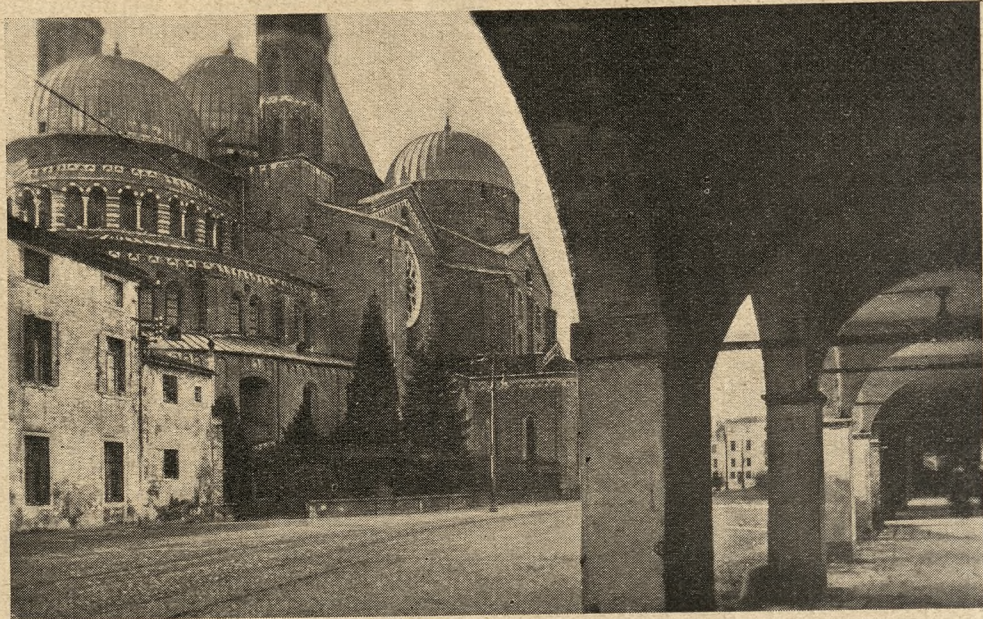
A niebios? Niebios błękitu framuga,  
Jakby o zdjętych nie wiedziały głowach.  
Patrzyły na to ciche, obojętne...  
Mnie się wszelako zdawało, że smętne.

Zegary już dawno północ wydzwoniły, a ona jeszcze stała w oknie.

*Aura Wyleżyńska.*



Modna za czasów drugiego Cesarstwa restauracja Ledoyen.



Bazylika św. Antoniego, widziana z boku.

## UROCZYSTOŚCI PADEWSKIE KU CZCI ŚW. ANTONIEGO

Jakkolwiek uroczystości padewskie w siedemsetną rocznicę śmierci Św. Antoniego wypadły pod względem zewnętrznym mniej świetnie, niż to byłoby pierwotnie przewidywane, z powodu bowiem zatargu pomiędzy Stolicą Apostolską a rządem włoskim ograniczone zostały do obchodów ściśle kościelnych — jednakże nastrój ich był czemś, czego się przez życie całe nie zapomina.

Już po południu z piątku na sobotę, to znaczy z 12-go na 13-ty czerwca, odczuwało się w mieście i w jego okolicach wzmoczony ruch, wzrastający w miarę zbliżania się wieczoru. O zachodzie słońca ulice tak zazwyczaj spokojnej Padwy zamieniają się w rozszemrane i rozkołysane rzeki ludzkie, dwoma korytami płynące w kierunku Bazyliki. Rzeki te wzbierają jeszcze o zmierzchu, zalewając plac przed kościołem i pobliskie ulice. Zaczynają się przygotowania do noclegu — pod gołym niebem, które zresztą, włoskim swoim obyczajem, rozpościera nad miastem niepokalanej czystości granatowo-czarny namiot, usiany srebrnymi punkcikami gwiazd.

Ciepło jest przytem i bezwietrznie, jak w najpogodniejsze wiosenne popołudnie. Pomimo to, instynktowną potrzebą „dachu nad głową“ wiedziony, tłum garnie się ku podcieniom, w które zaopatrzone są zresztą wszystkie niemal domy starszych dzielnic Padwy, a szczególnie właśnie okolice Bazyliki. Zwolna zapada cisza senna.

Trwa ona do świtu za ledwie. O godzinie 3 minut 45, o brzasku, uderzają naraz wszystkie dzwony Bazyliki, zwiastując rozpoczęcie Roku Antonjańskiego. Jednocześnie otwierają się wszystkie wrota olbrzymiej świątyni, wchłaniając pierwsze szeregi pielgrzymów. Rozpoczynają się nabożeństwa przy wszystkich ołtarzach, spowiedź przy wszystkich konfeksjonach.

A tłum wiernych wzrasta. Wzrasta coraz szybciej w miarę, jak przybywają pierwsze pociągi spe-

cialne z najbliższych większych miast, z Wenecji i z Bolonji. O godzinie 8-mej zrana kościół zdaje się pełny, a ciżba ludzka prze dalej i bez przerwy. Nastrój się wzmacnia. Z wonią kadzidła łączy się słodki, nieco ciężki, odurzający zapach lilij, które kościół jest dosłownie zarzucony, lilja jest bowiem kwiatem Świętego, symbolem Jego czystości. Wyrywają się z tłumu głośniejsze westchnienia, słowa żarliwiej szeptanej modlitwy. Słychać wyraźnie błagalne szepty kobiece: „O Santo, fammi il miracolo!“ („O Święty, uczyn mi cud!“).

Około godziny 9-tej następuje jakgdyby lekki spadek napięcia duchowego — przed chwilą najwyższego napięcia: o wpół do 11-tej, poprzedzony przez dwa szeregi kleryków seminarjum, proboszczów i wikarych, ukazuje się w drzwiach zakrystji biskup djecezji padewskiej, J. E. Elio della Costa.

Śród uroczystej, oczekiwania pełnej ciszy rozlegają się dźwięki „Ecce Sacerdos“ Perosiego, następnie zaś psalmy z muzyką na dwoje organów pod dyr. Ravanella. Przy końcu trzeciego psalmu biskup intonuje „oremus“ i, przywdziawszy paramenta mszalne, zstępuje z tronu, udając się przed wielki ołtarz. Rozpoczyna się Suma. Muzyka skomponowana jest specjalnie na dzień Siedemsetlecia przez Ravanella. Po jej ukończeniu biskup zasiada ponownie na tronie, zdejmując paramenta, poczem poprzez krużganki klasztorne powraca procesjonalnie do „Sali biskupiej“ w gmachu klasztornym. Jest godzina wpół do pierwszej.

Wieczorem w olbrzymiej sali starożytnego „Palazzo della Ragione“ Oratorjum o. Bernardina Rizzi (od wielu lat osiadłego w Krakowie), p. t. „Il Santo“.

W związku z obchodami 700-lecia urządzona została przez Komitet Antonjański religijno-obywatelski międzynarodowa wystawa nowoczesnej sztuki religijnej, na której Polska zajęła poczesne miejsce. Nad doborem dzieł pracowała komisja, złożona w połowie



z przedstawicieli duchowieństwa, kwalifikując prace z punktu widzenia liturgicznego, w połowie zaś z artystów. Wystawa jest najpoważniejszym niewątpliwie pokazem nowoczesnej sztuki religijnej, jaki odbył się ostatnimi czasy we Włoszech.

W dziale włoskim zasługują na uwagę: baptysterjum, zaprojektowane przez arch. *Miozzi* i *Mansuti*, a ozdobione rzeźbionymi stacjami Męki Pańskiej przez *Marainiego*, oraz witrażami przez *Periego*, trzy kaplice, z których jedna wykonana zbiorowym wysiłkiem padewskiej szkoły przemysłu artystycznego, zwanej „*Selvatico*”, druga — przez Wenecki Instytut Pracy, trzecia wreszcie — przez Związek Włoskich Artystów-Plastyków, t. zw. „*ENAPI*”, pod kierunkiem *Guerriniego*.

Z narodów obcych uczestniczą z działami autonomicznymi Niemcy, Austrija, Holandia i Polska; inne narodowości zgrupowane zostały w sali wspólnej.

Dział polski jest z cudzoziemskich najobszerniejszy, a krytyka włoska przyznaje jednogłośnie, że również i najlepszy; otrzymał też honorowe miejsce, tuż obok głównego wejścia.

Wyróżniany jest szczególnie drewniany ołtarz Wniebowzięcia N. M. Panny *Szczepkowskiego*, który umieszczony został w osobnej kapliczce, ozdobionej wyrobami metalowymi (świeczniki i lampa) firm *Gontarczyk* i *Marciniak*, witrażami, wykonanymi przez *Warszawską Szkołę Sztuk Pięknych*, oraz stacjami Męki Pańskiej w drzeworytach *Krasnodębskiej-Gardowskiej*. Zwrócił on uwagę zarówno duchowieństwa,



Figura anioła na kopule centralnej.



PADOVA - Chiesa del Santo

Ogólny widok Bazyliki.

naogół dosyć ostrożnego w stosunku do dzieł o charakterze wybitnie nowoczesnym, jak i sfer najbardziej radykalnych artystycznie, z przywódcą futurystów, dzisiejszym akademikiem i ekscelencją, *Marinettim*, na czele.

Zwraca poza tem powszechną uwagę cykl 7 Sakramentów *Stryjskiej*, zwracają uwagę prace kilku najmłodszych wychowalców Warsz. Szkoły Sztuk Pięknych, m. in. kute w miedzi „Zwiastowanie” *Fierka* i „Św. Barbara” *Schultza*. Wyróżniane są *Madonna Trzcieniejskiej-Kamińskiej*, i „*Chrystus*” *Kuny*, dalej projekty dekoracyjne *Sichulskiego*, wreszcie, jak zawsze, grafika, zwłaszcza *Skoczylas*, *Chrostowski*, *Konarska*, *Krasnodębska*, *Goryńska*, *Gedliczka*, oraz jedyny na wystawie zbiór witrażów, wykonanych w materjale, wśród nich głównie okno *Wyspiańskiego* — *Mehoffera*.

Kartony witrażów *Mehoffera*, przy podziwieniu dla ich powagi i dla doskonałego zrozumienia kompozycji witrażowej, wywołują jednak zastrzeżenia, dotyczące ich ujęcia stylistycznego, na którym zbyt silnie znać wpływ okresu Secesji; podobnież zarzucana jest pewna nienowoczesność formalnego ujęcia imponującemu skądinąd „*Ukrzyżowaniu*” *Pautscha* i kompozycjom *Michalaka*.

Pomimo tych zastrzeżeń dział polski uważany jest, jak powiedziałem, za najpoważniejszy z pośród cudzoziemskich, a z całej wogóle wystawy — za najbardziej odpowiadający wymaganiom kościelnym; wkrótce też po otwarciu wystawy otrzymała Polska zaproszenie do udziału w przygotowywanej na koniec roku wystawie Sztuki religijnej w Medjolanie.

Padwa, w czerncu

Wacław Husarski.



zubry

## ZIELONE BOGI I ICH CZARY

Oblany słońcem, śpiewający czerwcowy ranek w Białowieży stał się terenem sprawy zaiste niezwykłej. Poraz pierwszy uderzyła o zielone ściany fala tak różnorodnego podziwu.

Przedstawiciele Ameryki, Bułgarii, Danji, Jugosławii, Estonji, Meksyku, Łotwy, Norwegji, Portugalji, Niemiec, Rumunji, Turcji, Argentyny, Brazyliji, Czechosłowacji znaleźli się tu dzięki szczęśliwą godziną zainspirowanej wycieczce naszego Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Dewiza: żadnego protokołu — dała odrazu ton uczniowskiej niefrasobliwości. Sen stał się funkcją daleko-rzędną. Przed rozbudzone, szeroko otwarte oczy sunęły Siedlce, Czeremcha i już zupełnie puszczańską, zlaną słońcem, Hajnówka.

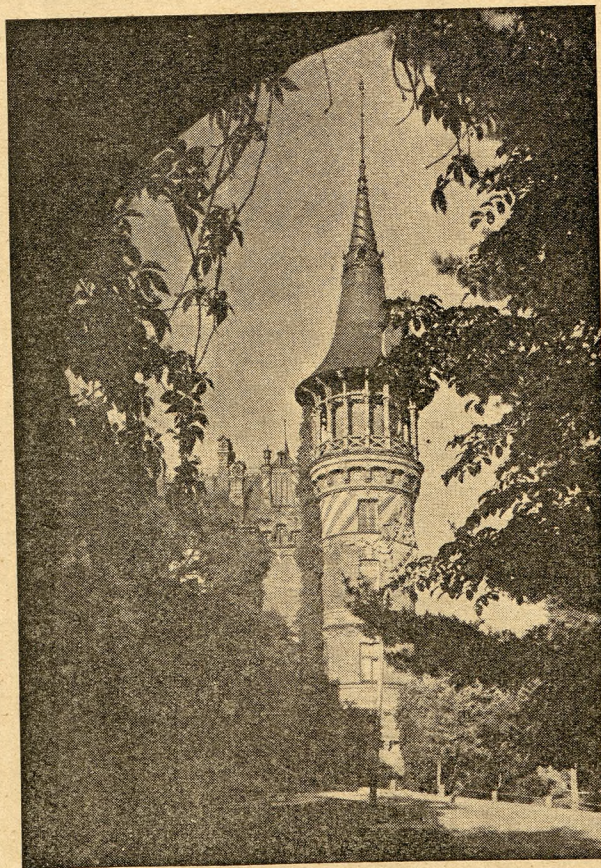
Ranna pobudka zdecydowała odrazu: dwa dni w puszczy będą wam lekkie i dobre. Poznamy się tutaj i polubimy z pewnością. Wszystkie spotkania będą się oznajmiały uśmiechem. Godziny skromnych lunchów i obiadów urozmaicały wybuchy zdrowej, krzykliwej wrzawy. Długie wędrówki między stropami drzew, och, te drze-

wa! napelnia płuca zapachem, złożonym z oddechów roślin, których się ani zapamięta, ani niestety, dostrzeże. Dwa dni — to zamało na analizę tonów. To dość dla wczarowania akordu. To film. Czy możliwe, że jednak zdołały pomieścić to wszystko?

Więc można było obciążyć mięśnie znużeniem, rozpromienić oczy barwą, o której właśnie tu, w puszczy... mówimy: zieleń. Nieprawda! Jest sto tysięcy zieleni. Słowo zamyka tak mało. I nie już słowa nie zmieni\*)

Więc miało się i nenufar na wiosle? I wiatr w pędzie auta, naładowany może temi trzystoma odmianami storczyków? I tłum głosów ptasich, w których, kto wie, może odezwał się ten bataljon-bojownik, niepozorny stworek, obstalowujący sobie u natury przeświecne kryzy, każdą odmiennego koloru, na zaloty, niechybnie nacechowane finezją monarszą ostatnich Ludwików. Czulo się przez jakąś przelotną godzinę świeżość siana może — o, wielkowiejska naiwności — z samej żubrówki? Dojrzało się młeczny sierpik na niebie,

\*) F. Kruszevska: „Siano“.



Zameczek myślimski w Białowieży.

prędko wygnany przez pełzające po tarasach pałacyku światła z sal, w których wirował i śpiewał dancing jakież inny, jakież jedyny!

Było jednak to wszystko. Nawet cicha, skupiona w półmroku poddeszczonego nieba godzina żubrów, stojących pod jodłami, jak omszałe brunatne bryły, obojętne na tłum, obiektyw i podziw.

W tem wszystkim niepodobna było nie chwycić ciepłem spojrzeniem, nagle otwartym sercem i ludzi. O każdym chciałoby się powiedzieć jakieś słowo-wrażenie, słowo-akcent, nazawsze utrwalone w pamięci.

Nie można pominąć młodziutkiej, jasnej sylwetki pani Jadwigi Beckowej, która pomyślała i wykonała całe to czarodziejstwo puszczańskie. Może przypomniało się zaharowanej pani ministrowej, jak w latach szkolnych cesała po trzydziści „małych“ w niedzielę, zakładała i dźwigała pierwszy skauting, urzędowała akrobatyczne cyrki w sali gimnastycznej i brała na swoją głowę wycieczkę czwartej klasy do Łowicza?

Pokochały ją niewątpliwie serca dyplomatyczne po tych dniach ozonowych i nocach, kiedy przez rosę leciały rozpędzone kółka, krzyżyki i węże, wyrwijące ręce ze stawów. Do niej kierowały się przekonniczne, głuszone radjem, toasty miss Białowieży, argentyńczyka p. Caballero i riposty jugosłowianina p. Lazarewicza. A także dyskretnym humorem nacechowane przemówienie p. Willysa, ambasadora Ameryki, które Mühlstein (jak to on! po francusku) przetłumaczył rozkrzyczanym gościom. A inne?

Dyskretna sylwetka mrs. Broadmead, która jednak wykapała się w stawie. Urocze dziewczątko miss Erskine w tak zabawnie kontrastowych amerykańskich okularach, „linjowa“ tureczynka p. Vasfi Bey. Pełna dystynkcji sylwetka p. Moltke, która pieczołowicie napewno przechowa żubry, na poczekaniu



Odpooczynek nad rzeką.

z chleba wyrobione przez sławnego rzeźbiarza p. Pudget. I p. Dagmara d'Anckarsvärd, córka posła szwedzkiego, która tak wzruszająco spowiadała się i komunikowała w kaplicy zamkowej, robiąca doktorat na uniwersytecie warszawskim i pisząca pracę o Emilji Plater. I młodziutka panna Robeff, córka tak nam życzliwego, rozumnego ojca, ministra Bułgarii, uczennica Szkoły Sztuk Pięknych.

I wreszcie — nasze.

Śliczne, rozumne oczy Nałkowskiej i tak swoisty dla niej lojalny, sensowny stosunek do każdej sprawy.

Dyskretna światowa rezerwa Iłakowiczówny, zjawisko tak niesamowite na tle jej przeczutyh, muzycznych, poetyckich wylewów. Drobną, zgubioną w cieniach gałęzi Stryjeńska, dla której słowa są tak bardzo niczem, a tak bardzo wszystkim półgłosej i wołania koloru. I tak niezawodnie polski wyraz Konrada — serdeczna, promienna uprzejmość Zagórskiej.

Niepodobna nie utrwalić kliszy tych ślicznych dni, w których cudem Białowieży zapoczątkowaliśmy pokaz swoim i obcym jedynych w swoim rodzaju krajobrazowych polskich momentów. I mimo nocy, tak zdrowo przeszałały bez snu — ostatnie wrażenie usypiającego o popielatym świetle pociągu, który odwiezie nas do Warszawy, pozostanie kojące i pieścizotliwe.

Na pustym pomoście peronu ktoś z nas jeszcze, niezmordowany, nakręca łagodny chór Dana. Jakby ktoś śpiewał w puszczy. Ale zgasza go zaraz, pokryją, zakrzyczą skowronki.

Skowronkowy głos wywiozą w sercach goście z obcych krajów.



Po kładce.

Wanda Borudzka.

## POWIERNIK PRZY TELEFONIE

Czy nie zdarzyło się wam nigdy jechać gdzieś w świecie z osobą, pierwszy i ostatni raz w życiu widzianą i która wam w pociągu opowiedziała całe swoje dzieje? Czy nie spotkałyście w obcym pensjonacie, lub na przygodnej wycieczce kogoś nieznanego, kto zwierzył wam swoją wewnętrzną rozterkę, swoją hańbę, lub tragedję życia?

Tak odrazu, bez długich wstępów, otwarcie i szczerze!

Mogły te zwierzenia wzbudzić niesmak, ale mogły i wzruszyć; mogły wywołać współczucie i spowodować dobrą radę i pociechę...

Objawiła się wam dusza ludzka, twarz nieznaną, daleką i prawdopodobnie na zawsze oddaloną. W jednym błysku się ukazała, piękna, czy szpetna, i odeszła, znikła.

Spotkanie niczem was ze sobą nie związało, jedynie tylko rozmową człowieka z człowiekiem — równego z równym, bez względu na sferę społeczną; narodowość, poglądy — nie wytworzyło żadnej nowej zależności, pozostało bezinteresowną tajemnicą dwu osób.

Ten stosunek właśnie pozwolił na tę nadzwyczajną szczerłość i zaufanie, jakim obdarzyła was jakaś skolatana dusza.

Pewna waszej dyskrecji, nawet obojętności, ale ufna w waszą życzliwość, którą — któż to zgadnie, dlaczego? — wyczytała w waszym wzroku, uśmiechu, geście, dzieli się z wami sobą, sobą samą, w swej nieodsloniętej dla świata postaci.

Jest to dar, ale jest to i ciężar. Bo ten, kto się zwierza, oczekuje oddźwięku, rady, pomocy, a choćby tylko zainteresowania i wysłuchania, które już samo przez się ulgę mu przynosi. I najczęściej nie odmawia się tej przysługi człowiekowi, przechodniowi, nieznanemu, obcemu, jak nie odmówiłoby się podania szklanki orzeźwiającej wody...

I ileż razy z takich osobliwych spotkań zostaje jednej i drugiej stronie — mówiącej i słuchającej — wrażenie, pełne uroku!

Jest to urok nieznannej indywidualności psychicznej.

Podobnie osobliwy urok ma dla wielu rozmowa telefoniczna z nieznanymi osobami. Niekoniecznie tak zwany flirt telefoniczny, rzadko kiedy subtelny i interesujący, lecz zwyczajna rozmowa na taki, czy inny temat. Miło jest rozmawiać, słysząc głos, nie widząc osoby. Ułatwia to zresztą osobom nieśmiałym, lub zbyt wrażliwym szczerłość w rozmowie nawet ze znajomymi. Telefon jakoś inaczej obowiązuje, niż rozmowa oko w oko...

A czyż rozmowa o szarej godzinie, w przyćmionym oświetleniu, podnoszącym urok głosu samego, nie staje się zazwyczaj bardziej szczerą (bywa to i wyzyskiwane...), bardziej prostą i mniej oględna?

Zapewne wiele z tych uroków odległości widzenia i słyszenia, nieznannej twarzy i nieznanego głosu, ma dla Czytelniczek „Bluszczu“ — Nasza Mównica. Czy wielkie jej powodzenie nie tłumaczy się tem właśnie, że... powiernik jest przy telefonie?

Słucha, ale nie widzi; patrzy tak, jak same chcecie, by patrzył, w promieniu, naświetlającym tylko ten pewien odcinek waszego życia, waszej duszy, jaki podoba się wam poddać życzliwej obserwacji ludzi nieznanym.

Czytając szereg najróżniejszych listów i głosów Mównicy, nigdy nie odczuwam pragnienia poznania

osobiście tych, które je pisały. Biorę ich zwierzenia tak właśnie, jak owe opowiadania intymne towarzyszek podróży, z którymi nigdy więcej, ani w Chinach, ani w Australji, ani w mojem rodzinnem mieście się nie spotkam. Cieszy mnie, że twarze ich pozostaną mi nieznane, słucham obcych głosów, przeżywam egzystencję dalekie.

I to mnie dziś — tak mi się zdaje — upoważnia do zajęcia się z tego właśnie punktu widzenia zainteresowania psychologicznego dwoma listami Mównicy.

Pierwszy — to żaloszny liścik pani Maryjki (w Nr. 12-ym „Bluszczu“); drugi — pani A. K. z Gródka Jagiellońskiego (Nr. 24-ty).

Pani Maryjka skarży się na bezcelowość i beznadziejność życia w bardzo istotnie skromnych warunkach finansowych w jakimś małym miasteczku. Jest młoda, bezdzietna i ma młodego, chorowitego, wskutek tego zemerytowanego męża (miesięcznie 173 zł.). Całą pracę spełnia sama.

Pani A. K. nie wie natomiast, na czem można oszczędzić, mając w domu męża, ojca swego i troje drobnych dzieci (najmłodsze 11 mies., najstarsza córeczka chodzi już do szkoły), a do pomocy kucharkę, niańkę, praczkę przychodnią oraz dziewczynę do noszenia wody i węgla. Mieszka w małym mieście.

Pani Maryjka twierdzi, że ma aspiracje społeczne, a w swym skromnym budżecie ma kącik na abonowanie pism i radja, na składki na cele społeczne. Pani A. K., podając swój rozkład dnia, wspomina tylko, że czyta wieczorami. Wiemy, że chodzi na tennis i nabożeństwo majowe, pomaga córeczce w odrabianiu lekcyj. Na stronę moralną swego życia nie narzeka.

Cóż więc jest podobnego, co pozwala oba te listy i obie te sytuacje traktować razem i równorzędnie?

Oto ów fałszywy punkt wyjścia obu pań, z których każda oczekuje biernie jakiegoś nadzwyczajnego cudu, który poprawiłby jej sytuację, żadna zaś nie rozejrzy się w świecie, jak też naprawdę wygląda jej życie wobec współczesności i jakie miejsce w niem zająć sama może i powinna. Dziwne kobiety, które traktują siebie, jako istotę oderwaną od życia zbiorowego, zamkniętą w oazie swej egzystencji! I obie, każda inaczej, żalą się na swój los, wcale nie tak zły. Najprostsze rozwiązania są im — najdalsze.

Pani Maryjka i jej mąż mają mało pieniędzy? Czyż nie posiadają sposobu zarobienia ich więcej, tyle, by zaspokoić swoje aspiracje?

Niezawodnie — tak. Nawet dość łatwo. Jeśli młody, słabowity emeryt nie może brać obowiązkowej pracy poza domem, to może nietylko bardzo dużo pomóc żonie w domowych zajęciach (które dziś już nie hańbią „nawet“ mężczyzn!) ale i zająć się łatwym rzemiosłem, czy pracą umysłową, przynoszącą dochód.

Pani Maryjka, zamiast gnębić się monotonią bezcelowego życia, może i w małym miasteczku stworzyć sobie warsztat pracy zarobkowej; ogród warzywny i kwiaty, stołowanie osób samotnych, których zawsze się znajdzie dosyć, inteligentów, czy robotników; może szyć, haftować, mereżkować, nauczyć się fryzjerstwa lub modniarstwa; może — jeśli ma wykształcenie odpowiednie — dawać korepetycje i lekcje; może wejść w spółkę z kimś, kto miałby możność założenia cukierenki, sklepiku, atelier fotograficznego...

Naumyślnie wyklucz biurową, a wymieniam te być w małym miasteczku u będą prowadzone nieco barc

Zdaje mi się, że gdyby brała się do pracy zarobkowej (du się nie boi) i osiągnęła z tym stosunek do życia „beznadziejnie na lepsze. Usunięta bowiem byłaby terjałny niedobór, stwarzający ową ną i duchową, nad jaką (zresztą słu Czytelniczka „Bluszczu“

Jej los nie jest zły, a jego poprawa t samej zależy. I ta sama Pani Maryjka może dać lekcję energii i zaradności tej, z którą złą tutaj jej los: pani A. K.

— Jest pani magnatką wobec mnie, która korzystam z usług posługaczki tylko raz na dwa tygodnie. Pani jeszcze wcale nie wie, co to jest „pracować“, a boi się już „zamęczyć na śmierć!“ — woła pani Maryjka.

— Dwie stałe i dwie przychodnie służące! Mam wrażenie, że praca ich niezbyt jest wydajna, ale zapewne i organizacja pracy domowej jest wadliwa. A pani sama? — indaguje ciekawa pani Maryjka. — Pomoc rano przy sprzątaniu, sprawunki w mieście, po obiedzie lekcje z córeczką, wieczorem pacierz z dziećmi? Jakież bliżej nieokreślone szycie (czy pani szyje całą bieliznę dla siebie i rodziny, sukienki dla dzieci?) i to właściwie wszystko. Ogólny plan robót domowych, „doglądanie obiadu“ i wydanie ugotowanego przez służbę śniadania i podwieczorku, to czynności gospodyni. A matki? Najmłodsze dziecko tylko usypia pani wieczorem, zresztą cały dzień jest ono na opiece służących; średnia córeczka, jak pisze Pani, bawi się przeważnie sama, a najstarszej poświęca Pani trochę czasu przy odrabianiu lekcji. Czy to... nie za mało?

— Dla siebie — ciągnie dalej pani Maryjka — ma pani A. K. natomiast czas od 10 rano do pory obiadowej i od 5-ej popołudniu do kolacji o 7-mej, oraz po godz. 9 wieczorem, po udaniu się i starszych dzieci na spoczynek. Tak wiele czasu wolnego, z którym można robić, co się podoba, ma bardzo mało osób, ciężko i umysłowo pracujących. Wprawdzie wstaje pani wczesnym rano, lecz jej praca domowo-gospodarska i wychowawcza jest bardzo lekka. Czy nie zna pani dzielnych kobiet inteligentnych, które wychowały czworo dzieci, gospodarując, szyjąc, gotując, nie mając nigdy więcej, niż jedną służącą, nigdy mniej, niż cztery pokoje mieszkalne? Czy nie zna pani adwokatki, lekarki, właścicielki sklepu, która wychowała kilkoro dzieci, pracując przytem zawodowo i od czasu, gdy dzieci poszły do szkoły, ma zawsze tylko jedną służącą? Czy widziała pani urzędniczki, nauczycielki, które, wróciwszy po pracy zawodowej do domu, same sprzątają, gotują, cerują, szyją, prasują?

— Ja nie zazdroszczę pani tennisa — ciągnie nieublagana pani Maryjka — i nabożeństwo majowe, choć tylko przez jeden miesiąc w roku (a co robi pani przez 11 miesięcy o tej samej porze?) jest rzeczą piękną; lecz, czy nie możnaby, zamiast codziennie, iść co drugi dzień na tenisa, a nawet czasem opuścić nabożeństwo, by zająć się naprawdę bliżej dziećmi, by oddaliwszy jedną służącą (przynajmniej!), wziąć na siebie sprząkanie domu, cerowanie, a godziny, poświęcone obecnie nieokreślonym zajęciom, oddać naprawdę zorganizowanej i intensywnej robocie? Jest w pani systemie życia i prowadzenia domu jakiś błąd zasadniczy: za

... z przepracowania

Post-scriptum. Tak, ja... czątku, rozmawiam z nieznaną... jej towarzysząca niedoli, pani A. K. — to... sy. w telefonie, to tylko twarze, które mignęły w tłumie, w przedziale kolejowym... To tylko preteksty do tego, by mówić do wielu, wielu kobiet...

Bo ileż z was ma podobne żale, urojone bolączki i skrzywione nastawienie swej busoli życiowej! I tę niechęć do spojrzenia na rzeczywistość, a upodobanie do robienia z siebie biernej ofiary losu...

Nie chodzi mi wcale o osoby. Tak, jak powiedziałam na początku, nie jestem wcale ciekawa, czy pani Maryjka naprawdę istnieje, nie chcę nigdy poznać pani A. K. Ale wdzięczna im jestem, że się odezwały. Powiernik był właśnie przy telefonie.

Jadwiiga Kraroczyńska.

## Z TEATRÓW

TEATR WIELKI.

„Noc w Wenecji“ — operetka Jana Straussa (syna).

Zyjemy w fazie renesansu walca. Król marzeń naszych prababek, zaczarowany królewicz naszej własnej młodości (przedwojennej) wraca triumfalnie z wygnania. Czas nie ujął mu uroku bezpośredniości, raczej pomnożył go sentymentem wspomnień dla tych, którzy lubią wsłuchiwać się w nie, jak w przyćmiony kurant grającej tabakierki.

Taką zaczarowaną pozytywką z tańczącymi figurkami jest wznowiona obecnie „Noc w Wenecji“. Rasowa szlachetność muzyki Straussa usprawiedliwia w zupełności ukazanie się tej operetki na scenie Teatru Wielkiego i w obsadzie śpiewaków operowych, którzy tym razem, zdaje się, bez przymusu nałamywali się, raczej podciągali do tej lekkości motylej, z jaką mknie melodia Straussa.

Cóż z tego, że w tej szalejącej Wenecji było więcej wiedeńskiego, niż włoskiego rokoka, że w skomplikowanym kontredansie par zakochanych i zdradzających się nawzajem gubił się sens i wątek? Któżby zwracał uwagę na błędy libretta, na przydługosć dialogów mówionych, kiedy te wszystkie nonsensy, i naiwności, i komunały tańczyły w takt najcudniejszych walców na świecie, śpiewały chwałę miłości, beztroski i uciechy!

Czarodziej Strauss zrobił swoje: rzucił rozkoszny oman na serca ludzkie, tak bardzo spragnione uśmiechu.

Z właściwym temperamentem i sentymentem poprowadził orkiestrę Berdiajew; artyści głosowo wydobyli na jaw wszystko, co wydobyć należało; balet był wyjątkowo ożywiony, w niektórych obrazach (gołębie na Placu św. Marka) nawet malowniczo.

Jedno z rzadko udanych widowisk może stać się poważną atrakcją nie tylko w sezonie ogórkowym.

S. P. O.

ne, gdyż po wyczerpanej pracy nie  
zdrowotny, nie mówiąc już o po-

ciół W. S. P. pragnie zaradzić złemu.  
organizowało imprezy artystyczne, od-  
że stworzył z czasem własny dom wy-

ogło osiągać swoje piękne cele, musi zwer-  
ow. A cele są tak wysokie, składka zaś rocz-  
nie wielka, że Towarzystwo nie wątpi, iż nieba-  
nie nieliczna jeszcze grupa należących do niego

kich bliższych informacji udziela kancelarja Warsz.  
(Koszykowa 78) od 9 — 3, w soboty do 1.

### I ONE GINA.

Na liście strat lotnictwa zapisano świeżo dwa nazwiska  
kobiece: irlandka, p. O'Brien, zginęła wskutek rozbicia samo-  
lotu, a Ruth Nichols uległa poważnemu wypadkowi, przy roz-  
poczęciu lotu przez Ocean do Europy.

### ADWOKATKI WSZYSTKICH KRAJÓW, ŁĄCZCIE SIĘ!

W maju odbył się w Wersalu międzynarodowy zjazd  
adwokatów. Na marginesie tego zjazdu zawiązało się stowarzy-  
szenie kobiet-adwokatów. W posiedzeniu inauguracyjnym wzię-  
ły udział przedstawicielki piętnastu narodów. Na przewodniczą-  
cą obrano panią Marie Vérone, wybitną publicystkę i działacz-  
kę feministyczną, jedną z pierwszych kobiet, które ukończyły  
prawo. Wice-przewodniczącą została polka, adwokat Marja  
Sienkiewiczówna z Wilna. Wybór ten, niewątpliwie dla Polski  
zaszczytny, może się stać atutem propagandowym nielada. Na  
sekretarkę powołano belgijkę, a na skarbniczkę greczynkę, pa-  
nią Japapa.

Związek ma na celu wymianę walorów intelektualnych,  
oraz wzajemną pomoc zawodową.

### OPIEKUNKA PTAKÓW.

Oryginalną postacią, znaną dobrze całemu miastu, jest  
w Monachjum staruszka, zwana „gołębią mamą”. Codziennie wze-  
snym rankiem, zimą i latem, w upał, zarówno jak w deszcz lub  
zawieruchę, gołębia mama wychodzi z ogromnym workiem,  
wypchanym ziarnem, i wędruje po całym mieście, zatrzymując  
się na różnych placach, na które zlatują chmarami gołębie, do-  
skonale znające swoją opiekunkę.

### TOwarzystwo Przyjaciół WARSZAWSKIEJ SZKOŁY PIELĘGNIARSTWA.

Wiadomo, czym jest umiejętne pielęgnowanie chorego, za-  
równo z punktu widzenia racjonalnego leczenia, jak z czysto  
charytatywnego. Szpitale nasze przedstawiają pod tym wzglę-  
dem dużo do życzenia. Załdwie w kilku personel pielęgniarski  
stoi na wysokości zadania.

Równie ważne jest zagadnienie medycyny zapobiegaw-  
czej, która nie da się pomyśleć bez pielęgniarki społecznej, pra-  
cującej z ramienia ośrodka zdrowia, poradni, szkoły, fabryki itd.

Śmiało rzec można, że pielęgniarstwo jest u nas jednym  
z czołowych zagadnień społecznych, dotąd jednak, niestety, nie-  
docenianem.

Dyplomowanych, wykwalifikowanych pielęgniarek do-  
starczają zawodowe szkoły o kursie przeszło dwuletnim.

Najstarszą i najpojemniejszą co do liczby uczennic jest  
Warszawska Szkoła Pielęgniarstwa. Warto zwiedzić jej wielki  
gmach ze znakomitemi urządzeniami i ciekawie pomyslanym  
rozkładem sal i pokoi.

Szkoła obchodzić będzie tego roku jesienią swe dziesię-  
ciolecie. Ma już swoje tradycje i uznanie w społeczeństwie.

Jednym z dowodów tego uznania jest niedawne założenie  
Towarzystwa Przyjaciół Warszawskiej Szkoły Pielęgniarstwa.  
Powstało z inicjatywy dyrektorki, p. Zofji Szlenkierówny, a we-  
szła do niego grupa pań, którym dobro społeczne leży na sercu.  
Celem Towarzystwa jest, według brzmienia statutu, utrzymanie  
łączości między Szkołą a społeczeństwem, propaganda celów  
Szkoły i organizowanie pomocy materialnej dla słuchaczek.

To ostatnie zadanie jest szczególnie ważne ze względu na  
ciężki, przeważnie, stan materialny uczennic. Mimo pierwszo-  
rzędnych warunków higienicznych, panujących w Szkole, zdro-



Karmicielka gołębi.

Z UBIEGŁEGO TYGODNIA.

Ameryka zdecydowała zawiesić spłatę długów, należnych jej od Niemiec i innych państw europejskich, na jeden rok.

Zdarzenie to, ogromnej doniosłości, ma tyle różnych stron do rozpatrzenia, że zapewne będzie tematem długich rozważań ekonomistów i polityków. W największym skrócie rzuca się w oczy kilka jego zasadniczych czynników.

Po pierwsze, zasada Monroego: Ameryka dla amerykańców. Stosowana z całą bezwzględnością przez Stany Zjednoczone w ostatnich latach, okazała się fikcją, gdyż ściągnąwszy olbrzymie sumy za długi wojenne, zabezpieczywszy przemysł i robocizną granicami celnymi i kontr imigracyjnymi, siedząc dosłownie na górach złota, Stany nie uniknęły ani bezrobocia, ani olbrzymiej fali bankructw.

Więc można bankrutować, mając moc pieniędzy?

A można, tak samo, jak głodować przy zbyt wielkiej ilości zboża, jak to się dzieje teraz wszędzie.

Co, jak co, ale pieniądź ma wartość umowną tylko; najlepszym tego dowodem jest, że na giełdach, na samą wiadomość o decyzji Ameryki, papiery podskoczyły o 25 proc., *placono* więc we wtorek po 25 procent więcej, niż w poniedziałek i *pieniądze się znalazły, gdyż znalazło się zaufanie*.

To samo zaufanie reguluje wszystkie stosunki finansowe i gospodarcze, na niem opiera się system gospodarczy świata, w którym przy dzisiejszym układzie żadne państwo nie może stać odosobnione, ani zagarniać wszystkich zysków, ani zamykać granic, ani wyłącznie eksportować, ani stosować żadnej innej formy *splendid isolation*.

Decyzja Ameryki przynosi największą ulgę Niemcom, które potrafiły przekonać, że stoją w obliczu bankructwa; czy ta ulga nie wpłynie, jak to wielu przewiduje, na wzmocnienie hitleryzmu i buty niemieckiej?

Z niemiejszem chyba zainteresowaniem, niż decyzji Hoovera, oczekiwano, w jakim tonie odpowie rząd niemiecki.

Pierwszą odpowiedź wygłosił w parlamencie kanclerz Brüning, oświadczając, że propozycja Ameryki prowadzi nie tylko do odnowienia międzynarodowego zaufania w stosunkach gospodarczych, lecz również *i politycznych i do zgodnej współpracy międzynarodowej*, aby ci, których tragiczny los uczynił w wojnie światowej wrogami, zdobyli się teraz na decyzje, jakich wymaga od wszystkich straszliwa niedola.

Czy Hitler i hitleryzm jest tego samego zdania? Nie wiadomo. Fakt jednak takiej enuncjacji rządu niemieckiego jest bardzo ważny i gdyby polityka Niemiec poszła w przyszłości lojalnie i bez zastrzeżeń po tej linii, pokój europejski mógłby spać spokojnie.

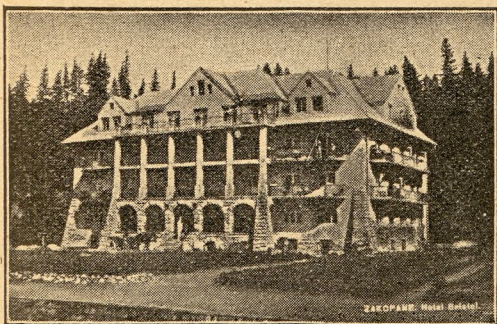
Już jednak w tem przemówieniu, tak pełnym pięknych intencji, uderza nas jedno: Brüning, mówiąc o rozwoju pokojowych stosunków Niemiec z sąsiadami, wspomina *tylko o Francji*. Czy znaczy to, że obejmuje też swem zapewnieniem Polskę, tak ściśle z Francją sprzymierzoną? Czy otwiera drogę do dyskusji? Przyszłość pokaże. W każdym razie Ameryka ma w ręku dolarowy klucz sytuacji, który na hitleryzm może być nienajgorszym *lekarstwem*.



Prawdziwie amerykańskie dziecko.

NAJMŁODSZA PŁYWACZKA.

W ostatnich czasach rozpowszechnił się w Ameryce i Anglii nowy odłam sportu wodnego: jazda na deskach, holowanych przez motorówkę. Łączą się z tem jeszcze różne wyczyny zręczności, jak np. strzelanie z łuku do celu, umieszczonego na drugiej desce; ale i bez dodatków, sama jazda, utrzymanie się, stojąc, na platformce, rwanej szalonym pędem motorówki, jest dosyć trudne. Któżby przypuszczał, że byłaby do tego zdolną sześciolatnia dziewczynka! A jednak to dziwo jest faktem. Mała amerykaneczka, Joy Crew, nie boi się tej jazdy i utrzymuje dzielnie równowagę. Mała „radość“ (joy) umie już doskonale pływać. Jest przytem bardzo dumna, że towarzyszącym jej trenerem jest znakomity champion tego sportu, Elmer Peck.



**ZAKOPANE**

Perła uzdrowisk polskich—daje emocjonujące widoki Tatr, teżyznę ducha i ciała, spokój, wypoczynek i zdrowie — a więc jedźmy wszyscy do Zakopanego.

**BRISTOL**

Najtańszy luksusowy reprezentacyjny hotel-pensjonat w Zakopanem — daje wygody ogniska domowego, a w sezonach głównych rozrywki towarzyskie i zabawę. W okresach wiosennym i jesiennym ceny niższe od 30—50%. Tel. 315.

## NASZA MÓWNIKA

„**Jak oszczędzać?**“ (W odpowiedzi p. A. K. z Gródka Jagiellońskiego).

Nie mogę się nadziwić, że Sz. Pani, mając troje dzieci, trzyma stale dwie służące i jeszcze dwie inne bierze do pomocy! W dodatku sama cały dzień jest zajęta dziećmi i gospodarstwem, wstając o 5-ej rano, kładąc się o 11-ej.

Ja mam mieszkanie pięciopokojowe i także troje dzieci, nas dwoje, razem pięć osób i jedną służącą. Dziecko najmłodsze ma dziś dwa lata, starsze 4. Służąca sypia z dziećmi (poprzednio, t. j. do roku, sypiały ze mną), wstaje o 6-ej rano, ubiera się, idzie po mleko i pieczywo, rozpala ogień do śniadania. O 7-ej budzi męża i dziewczynkę, która chodzi do szkoły, podaje im śniadanie. Dzieci budzą się około 7 i pół, służąca daje im mleko i chleb z masłem. O 7 i pół mąż i córeczka wychodzą do zajęcia i do szkoły. Służąca ubiera dzieci i przyprowadza je do mnie. Sama je śniadanie, następnie idzie na miasto po zakupy na obiad i to nie codziennie, albo (w zimie) pali w piecach. Ja wstaję około 8-ej. Pilnuję dzieci, które się przy mnie bawią, jem śniadanie, czytam gazetę. Około 9-ej służąca sprząta pokój dziecinny i do tego czystego i przewietrzonego pokoju zabiera dzieci, daje im kaszkę i bawi się z niemi.

Ja wówczas sprzątam dwa pokoje, t. j. nasz sypialny i gabinet. Ścielę łóżka, wycieram kurze, zmiatam elektroluksem. Duże sprzątanie robię dwa razy na tydzień, we środy i w soboty. Wogóle w mieszkaniu jest czysto, nikt specjalnie nie zaśmieca, dzieci są nauczone porządku. Około 10-ej — 10 i pół ubieram się, wydaję na obiad i wychodzę z dziećmi na spacer. Po naszym wyjściu służąca sprząta pokój starszej córeczki (która nb. łóżeczko swoje sama posłała przed wyjściem do szkoły) i stołowy, przedpokój i korytarzyk. O 12-ej zabiera się do gotowania obiadu, który ma być na g. 2-a. Obiad składa się z zupy, mięsa, 2-ch jarzyn i łatwej leguminki (kompot, naleśniki, grzybek, etc.).

O g. 1 i pół wracam z dziećmi ze spaceru, daję im obiad (zupę, jaja, jarzynkę, słodkie). Dzieci idą spać, my siadamy do obiadu. Jest g. 2-a. Po obiedzie służąca zmywa naczynia i sprząta *porządnie* całą kuchnię, która zresztą zawsze jest czysta. Ja odpoczywam, czytam, gram na fortepianie; rozmowa z mężem przy czarnej kawie; robimy z córeczką robotki etc. Jest g. 4 — 4 i pół. Dzieci się budzą. O ile nigdzie nie wychodzę, bawię się z niemi, idę jeszcze raz na spacer, daję podwieczorek (kakao, chleb), służącą zwalniam na spacer do 6-ej, nie codziennie, jakieś 2 — 3 razy w tygodniu. W inne dni wychodzę po obiedzie bez dzieci, czy to po zakupy, które robię sama, na zapas, czy z wizytą, do kina. Służąca mnie wtedy zastępuje i siedzi z dziećmi w domu. Jeżeli *muszę* wyjść rano za interesami, służącą odprowadzam z dziećmi do ogrodu, a obiad robi się za powrotem łatwiejszy (zupa mleczna lub kaszka, befsztyk, kotlet wieprzowy z wczorajszą odgrzaną kapustą, etc.). Co drugą niedzielę wychodzę rano do kościoła i popołudnie mam dla siebie. Co drugą niedzielę to samo ma służąca.

O 7-ej wieczór dzieci jedzą znowu kaszkę, sprzątają zabawki, myją się i idą spać. My, starsi, pijemy herbatę, do której podaje się zimne mięso z obiadu, jaja, ser, rzodkiewkę, chleb, masło, mleko, na zmianę. Zmywania jest na 10 minut: 3 szklanek, 3 talerzyki, 2 talerze dzieci. Kuchnia czysta, służąca ma wolny wieczór, czyta, szyje, lub idzie wcześniej spać (jest g. 8 — 8 i pół). O ile wychodzimy na wieczór, bierzemy klucze od mieszkania, by służącej za powrotem nie budzić.

Taki jest plan życia codziennego. Wyjątki bywają, gdy są goście. Po ułożeniu dzieci, służąca podaje kolację, zmywa czasami i usługuje do późnej nocy, ale to bywa rzadko, ze względu na koszt i zmęczenie.

Pranie robi się co dwa tygodnie, aby za dużo bielizny nie nabierać. Na wieczór moczy się bieliznę: 10 prześcieradeł, 5 po-

szewek, 4 koszule męskie, 10 damskich, 20 dziec., różne drobiazgi i t. p. Rano o 5-ej służąca zaczyna pranie, które się robi sposobem skróconym, bardzo dobrym, według przepisu „Bluszczu“, tak, że na g. 12-ą w południe wszystka bielizna jest wygotowana, wyprana i włożona do wanny, gdzie moknie do dnia następnego. Służąca, jak zwykle, bierze się do obiadu o 12-ej. Tego dnia ja sama wszędzie sprzątam i muszę zająć się dziećmi. Poza tym dzień płynie normalnie. Następnego dnia, znowu rano, płócze się, wykańcza i wiesza bieliznę. Składanie, maglowanie, prasowanie, odbywa się następnego dnia, po obiedzie, co nie trwa dłużej nad 1 godz. — 2 ch dziennie.

Do porządków nadzwyczajnych na wiosnę i na jesieni (mycie okien po zimie, okurzanie ścian) biorę na dwa dni pomocnicę. Węgiel z piwnicy *tylko w zimie* przynosi chłopak raz na dwa tygodnie, do dużej skrzyni, która stoi w kuchni.

Gdy dzieci były małe, wozilał je na spacer w wózek, starsze bawiło się przy mnie, podczas gdy małe spało.

Kucharki, której *trzeba doglądać* i która nie chce albo pracować, albo w inny sposób pomagać, nie trzymałabym wcale. Dziś służąca za drogo kosztuje, aby mogła być, w przeciętnej rodzinie, tylko do jednej roboty. Obiady robi się teraz skromniejsze, ale pożywniejsze. Sprzątanie powinno być zawsze „wielkie“, t. j. zawsze powinno być czysto, a dzieci i służąca *trzeba nauczyć nie robić nieporządku*. Pani domu powinna *sama* główniejsze zakupy robić *na zapas*, a nie posyłać co chwila służącą po 1/4 kilo ryżu, lub cukru, albo po parę ziarenek pieprzu. Kucharka musi umieć kupić mięso, a wagę i cenę trzeba sprawdzać. Wogóle służącej głupiej, leniwej, albo niechętniej, nie warto trzymać. Lepiej jednej lepszej więcej zapłacić (ja płacę 55 zł.), niż mieć dwie tańsze, bo życie kosztuje. Powtóre, przy jednej czystej służącej jest zawsze mniej sprzątania i zajęcia, bo ona wie, że *sama musi po sobie sprzątać*, więc się stara nie brudzić. A pani domu, gdy ma jedną służącą, pomaga jednej, gdy ma dwie, *pomaga dwóm*, więc lepiej mieć jedną, ale dobrą.

Zofja K.

**Nie zawiele miłości.** (W odpowiedzi p. N. J.).

Kwestję, poruszoną przez Sz. Panią, w artykule o „Poskramianiu miłości“, uważam za b. ważną i zawsze aktualną.

Dodałabym jednak, iż należy poskramiać nie tylko miłość nieszcześliwą, źle ułokowaną, bez wzajemności, ale w wielu wypadkach nawet szczęśliwą, legalną miłość małżeńską.

Bowiem kobieta kochająca, nawet najbardziej nowoczesna, pod wpływem miłości przeistacza się i, zwłaszcza w pierwszej erze uczuciowego zapamiętania, zatracą w pewnej mierze swą indywidualność na rzecz indywidualności męża.

Naturalnie, istnieją kobiety o bardzo silnej indywidualności, mam tu jednak na myśli kobietę przeciętną.

W charakterze zaś mężczyzny leży chęć absolutnego posiadania kochanej kobiety i taki stan rzeczy dogadza mu i po-chlebiam.

Czy jednak kobieta młoda, pracowita, wykształcona, przygotowana do walki życiowej, może bezkarnie przekreślić swoje „ja“ i złożyć na ołtarzu miłości bogaty swój świat wewnętrzny?

Chyba, że nie. A ileż niezadowolonych, dysonansów, powodów do przykrych nieporozumień stwarza chęć upomnienia się o prawa, z których dobrowolnie się zrezygnowało!

Przy pewnej dozie opanowania i rozsądku, można uniknąć tego wszystkiego, należy tylko raz na zawsze uprzytomnić sobie, iż miłość, nawet najszcześliwsza, nie może być bezapelacyjnym regulatorem naszego życia psychicznego i że w małżeństwach współczesnych, zawartych przez mężczyznę i kobietę o równym poziomie umysłowym, przesadna miłość jest największym wrogiem normalnego życia kobiety.

A. Hłasko-Pawlicowa.



## WŁASNA SIEDZIBA A GOSPODARSTWO DOMOWE

Współczesna pani domu może ułatwić sobie spełnienie wielu swych obowiązków przez dobrą organizację i zharmonizowanie wszystkich czynności. Należy przezwycięzać trudności stopniowo, znajdując przyczyny zła i usuwając je z drogi normalnego biegu pracy.

Bardzo ważnym czynnikiem, mającym w wielu wypadkach wpływ decydujący na podniesienie, lub obniżenie poziomu życia naszych rodzin, jest *własna siedziba*, to znaczy mieszkanie, lub dom, który rodzina zajmuje i który stanowi teren pracy pani domu.

Widzimy, że panie domu w krajach Europy Zachodniej i w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej ujęły już tę sprawę w swoje ręce i budowanie własnego domu nie może się odbywać bez ich udziału. W wielu razach pani domu ma głos decydujący, ona częstokroć planuje, lub zmienia plan przyszłej własnej siedziby, albowiem ona, nie kto inny, będzie w swym domu administrowała i prowadziła prace. Oddawna umiejętnie zorganizowane życie tych narodów rozwija uświadomienie i przedsiębiorczość kobiet, które zdają sobie sprawę, jakich żądać ułatwień, aby ich codzienna praca odbywała się w warunkach najlepszych i najmielszych.

Interesem przemysłowca i kupca jest dogadanie tym żądaniom oraz wyrabianie i sprzedawanie narzędzi i sprzętów, przystosowanych do wymagań pani domu, architekt zaś i budowniczy stara się planować i budować takie domy i mieszkania, które zdołają zadowolnić jej wymagania, a więc uwzględniają wszystkie potrzeby nowoczesnej rodziny.

U nas sprawa przedstawiała się dotychczas całkiem odmiennie i bardzo niepomysłnie dla nas, gospodyń. I tutaj przyznać trzeba, iż znaczną część winy ponosimy my same przez własną nieświadomość.

W tem zrozumieniu Sekcja Mieszkań i Urzędzeń przy Kole Studjów Gospodarstwa Domowego, kierowana przez p. Marję Chmieleńską, podjęła usiłowania, idące w dwóch kierunkach.

Z jednej strony pragniemy uświadomić najszerszy ogół kobiet, jakie warunki składają się na idealny teren pracy przy gospodarstwie domowym i jakie zmiany należałoby przeprowadzić w starych mieszkaniach bez wielkich kosztów, aby umożliwić sobie dobre zorganizowanie gospodarstwa, jak również, czego należy się domagać przy planowaniu, budowaniu i wykończaniu nowych siedzib, aby uniknąć na przyszłość omyłek i braków.

Z drugiej strony, pragniemy, aby panie domu wyszły z dotychczasowej bierniej roli ponoszenia skutków tych omyłek i braków, lub nieliczenia się architektów i przemysłowców z ich potrzebami i zdaniem, i, jako strona najwięcej zainteresowana, zabrały głos

w tej sprawie i zaczęły działać w celu uniknięcia błędów na przyszłość.

Sekcja zebrała i opracowała, na zasadzie rzeczywistych faktów i spostrzeżeń, cały szereg uwag i życzeń pań domu co do planowania, budowania i wykończania mieszkań i podała praktyczne wskazówki, jak zaradzić i przeciwdziałać możliwym błędom i brakom. Niezależnie od tego, Sekcja czyni na swoją rękę próby racjonalnego urządzenia wewnątrz gospodarskich, zaś w początkach lipca r. b. wyda książkę p. t.: „Kuchnia Nowoczesna“ (w opracowaniu p. M. Chmieleńskiej), zawierającą cały szereg rysunków i fotografii polecanych racjonalnych sprzętów i narzędzi, ułatwiających prace domowe. Większość tych sprzętów jest pomysłu członkiń Koła, a część z nich, po przeprowadzeniu doświadczeń w Instytucie Gospodarstwa Domowego, uzyskała odpowiednią aprobatę i cechę Instytutu.

Charakterystyczne jest, że pierwsze nasze dezyderaty mieszkaniowe spotkały się równocześnie z tą samą myślą w stowarzyszeniu architektów, którzy ze swej strony doszli również do przekonania, iż należy projektować domy mieszkalne z większym zrozumieniem życia rodzin, dla których są przeznaczone.

I oto w dniu 2 czerwca r. b. z inicjatywy prezesa Stowarzyszenia Architektów Polskich, p. Stanisława Brukalskiego, odbyła się wspólna konferencja, w której wzięło udział kilkudziesięciu architektów z ramienia Stowarzyszenia oraz 5 przedstawicielki instytucyj, pracujących dla pań domu i gospodarstwa domowego, a więc: pani Irena Szumlakowska z Instytutu Gospodarstwa Domowego, oraz panie Marja Chmieleńska i niżej podpisana — z Koła Studjów Gospodarstwa Domowego i Związku Pań Domu.

Poraz pierwszy panie domu miały możliwość wypowiedzieć swoje zapatrywania na sprawę, tak żywo je obchodzącą, i poraz pierwszy panowie architekci dowiedzieli się bezpośrednio od nas, że tak niewielkie są nasze wymagania, że chodzi tu między innymi o rozplanowanie kuchni z uwzględnieniem dwóch czynności: gotowania i zmywania naczyń — które, spełniane według zasad naukowej organizacji pracy, domagają się odpowiedniego rozmieszczenia sprzętów pomocniczych możliwie w niewielkiej odległości, aby nie trzeba było tracić czasu i sił na zbyteczne bieganie. Poza to ważne jest uwzględnienie nowoczesnych warunków higienicznych, które częstokroć przy najlepszym nawet rozplanowaniu mieszkania nie są brane pod uwagę podczas wykończania robót, albo też przy braku dozoru technicznego zupełnie mylnie pojmowane. Przytoczone zostały liczne przykłady takich braków w nowowybudowanych kooperatywach i instytucjach.

Po zapoznaniu się z naszymi życzeniami i uwagami, p. Brukalski wysunął bardzo ciekawą koncepcję współpracy panów architektów z paniami domu, zgrupowanymi w trzech wyżej wymienionych instytucjach, a mianowicie podzielenie rodzin na szereg

grup według warunków życia, poczynając od najuboższej warstwy ludności, więc robotniczej, urzędniczej i t. d. Poddziały uwzględniałyby rodziny duże i małe, mieszkające w mieście i na wsi, prowadzące gospodarstwa z pomocą obcą i bez tej pomocy, czyli samowystarczalne i t. d. Na tych podstawach projektuje następnie p. Brukalski przystąpienie do opracowania planów siedzib dla poszczególnych grup, z wniknięciem w potrzeby każdej rodziny, należącej do odpowiedniej grupy poddziału.

Poraz pierwszy została poruszona sprawa wczucia się w urządzenie samego wnętrza i dostosowania sprzętów i naczyń do poziomu życia rodzin, a co najważniejsza, że sprzęty te byłyby przystosowane do projektowanych typów siedzib i rozmiarów poszczególnych ubikacyj. Chodzi tu o doniosłą sprawę zharmonizowania całości i dążenie do znormalizowania, a co za tem idzie, do potanienia wytwórczości i budownictwa.

Panowie-architekci uważają obecny okres czasu, ze względu na zastój w budownictwie, za bardzo odpowiedni do przeprowadzenia prac przygotowawczych, i nie należy wątpić, że rozpoczęcie ruchu budowlanego zostanie nas więcej przygotowanymi do racjonalnego, taniego i praktycznego budowania i urządzania własnych siedzib.

Tak więc, gdy przyjdzie do omawiania warunków życia i potrzeb poszczególnych rodzin, podzielonych na zbliżone do siebie grupy, i planowania dla nich siedzib i wnętrz — panie domu, za pośrednictwem swych organizacyj, będą miały możliwość przedstawienia swoich postulatów w tej sprawie i zaczną poważnie współdziałać w usiłowaniach, zmierzających do najlepszego rozwiązania sprawy.

Nasze instytucje, pracujące dla pań domu i gospodarstwa domowego, uważają przygotowanie dobrego terenu do pracy w domu, jako pierwszy warunek podniesienia poziomu życia i dobrobytu rodziny. I nie tylko my, ale i całe społeczeństwo polskie powinno szukać przyczyn prawie wszystkich niedomagań i rozwiązań wielu zagadnień gospodarczych w oplakany stan naszych obecnych siedzib. Tylko z dobrze zbudowanych, choćby najskromniejszych, ale suchych i zdrowych siedzib mogą wyjść zdrowi i zadowoleni obywatele, a już powołaniem każdej pani domu jest, aby dom własny uczynić tak miłym, aby ci obywatele — młodzi i starzy — chętnie do niego wracali i w nim przebywali.

To wszystko dotyczy przyszłości. Co jednak począć, gdy mieszkamy w domach starych, zbudowanych bez żadnej myśli o zdrowiu i nieuwzględniających obecnych warunków życia i podstaw nowoczesnego prowadzenia gospodarstwa?

Otóż najniepomyślniejsze nawet warunki, jakie niejedna pani domu zastaje w swej siedzibie, dadzą się złagodzić przez nieznaczne zmiany w instalacjach, przedstawienie sprzętów i t. p.

W Instytucie Gospodarstwa Domowego w Berli-

nie przy Związku niemieckich pań domu przeprowadzono blisko 400 prób rozplanowania kuchni, rozstawienia sprzętów, naczyń i narzędzi gospodarskich w celu zbadania, przy jakim ich rozmieszczeniu uda się osiągnąć największą wydajność pracy z najmniejszą stratą sił i czasu.

Byłoby bardzo pożądane, aby polskie panie domu w małym zakresie rozpoczęły przeprowadzanie podobnych doświadczeń u siebie na terenie swego domu, czy mieszkania, a wyniki podawały do Instytutu Gospodarstwa Domowego w Warszawie, co w przyszłości, po przepracowaniu materiału przez Instytut, mogłoby wrócić, jako gotowe wskazania dla najszerszego ogółu kobiet.

Naprawienie warunków zewnętrznych, czyli terenu pracy, dopiero daje możliwość ułożenia rozkładu pracy dla siebie i domowników i stopniowego przejścia do innych ważnych i nieuniknionych zadań, które stają przed każdą panią domu, a więc: ułożenia jadłospisów z uwzględnieniem racjonalnych zasad odżywiania, jako środka zapobiegającego chorobom; ułożenia budżetów w ramach posiadanych środków pieniężnych; kalkulacji zakupów, oszczędności materiałów, zużytkowania resztek; kontroli czynności pieniężnych, czyli rachunkowości domowej, pilnowania budżetu i terminów zobowiązań pieniężnych, i nakoniec *wykonania pracy i kontroli wykonanej pracy* przez siebie i domowników, z przestrzeganiem punktualności wykonania.

Trzeba jednak od czegoś zacząć, aby unowocześnić nasze gospodarstwo domowe i nadażyć za ogólnym postępem i wyścigiem pracy. Stworzenie jak najlepszych warunków pracy na terenie własnej siedziby jest właśnie tym punktem wyjścia.

Iza Mandukowa.

## SZMINKI

Zalotność jest stara, jak świat. W wykopaliskach z przed kilku tysięcy lat znajdujemy jej ślady najbardziej przekonujące, a starożytni autorzy piszą na ten temat sporo. Horacy wymienia 3 rodzaje szminek: niebieską, białą i czerwoną. Martial mówi o blejwejsie i o kredzie, któremi niewiasty za jego czasów pokrywały sobie twarze, a Pliniusz i Owidjusz opowiadają, że patrycjuszki rzymskie używały madragory i maku dla wygładzania chropowatości i wad skóry na licach. A co powiedzieć o jednej z trzech szminek, z których dwie pierwsze były wytwarzane z oliwii i karminu i odznaczały się piękną czerwieńią, trzecia — to treść pewnych odpadków krokodylich! A jednak zalotnisie maściły tem swoje twarzyczki, byle tylko wydać się piękniejszemi!

Te same rzymianki umiały także odbarwiać swoją skórę, robiąc okłady z naparu kminku... blade i romantyczne już wówczas! Maski piękności była w codziennem użyciu, niektóre zachowywały ją od 24 go-

dzin do tygodnia... Dowodem czego sławny welon, czyli maska Poppei, którą zalotna żona Nerona wymyśliła. Składała się ona z żyta parzonego, ugniatanego z miodem i oliwą, co tworzyło ciasto, twardniejące na twarzy. Odrywano je, zwilżając skórę letnią wodą, gdy się wydawało, że działanie było dostateczne. Tę maskę, bardzo w Rzymie cenioną, zwano dowcipnie „maską mężowską“. Biedak mąż musiał być w istocie zachwycony widokiem swej połowicy, wyglądającej, jak pasztet w cieście.

Gotownia ówczesnej rzymianki jakże była skomplikowana! Dzień zaczynała od kąpieli we „Frigidarium“, to jest pod natryskiem zimnej wody. Następnie przechodziła do „Trepidarium“, t. j. do letniej kąpieli. Potem do „Caldarium“, czyli do kąpieli gorącej, poczem powracała do „Trepidarium“, gdzie się poddawała osuszaniu ciała, mięsieniu i wcieraniu maści i olejków pachnących. Kąpiele te były nieodzowne, jeżeli się zważy, że przed udaniem się na spoczynek ciało elegantki rzymskiej było nacierane różnymi olejkami, dla nadania skórze miękkości i delikatności.

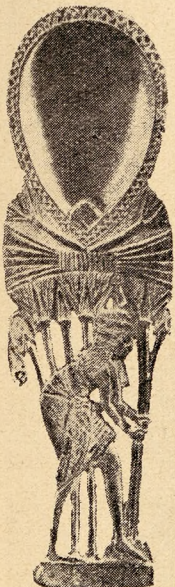
Poppea używała dla swoich codziennych kąpieli mleka od 500 oślic. Stała się sławna dla białości swej nieporównanej cery. Nie należy też zapominać o wszelkich maściach odwłosiających, z zaciekłością używanych w tych czasach. „Odwłosiarzka“, niewolnica, winna była usuwać włosy z nad warg, z czoła, z wnętrza nozdrzy. Następnie odbywało się posiedzenie dla nakładania bielideł, czernideł, różu. Inna niewolnica, „Ornatix“, manipulowała z subtelnością węgielkiem, szafranem, blejwejem, karminem, kredą, kohlem egipskim. Wreszcie wcierała zapachy, odpowiednie dla każdej części ciała: oliwę palmową na piersi, miętę na ramiona, majeranek na brwi, wyciąg z bluszczu na szyję. Ale to nie wszystko! Wielkim szykiem w Rzymie było barwienie włosów na kolor nie-

bieski! Piękny kolor niebieski, mocny i głęboki w tonach, był ostatnim krzykiem elegancji. Brunatno-czerwony był też w łaskach. Widzimy zatem, że nasi fryzjerzy, stwarzając peruki niebieskie, liljowe i pomarańczowe, nic nowego nie wymyślili.

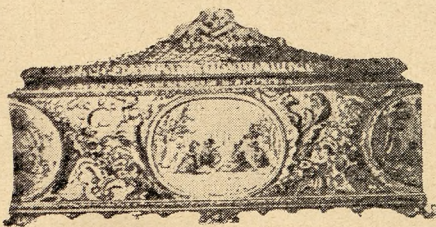
Egipcjanki, od których wielu tajemnic toaletowych wyuczyły się rzymianki, farbowały też swoje ciemne włosy. Niebieska barwa była w użyciu, a malowidła na sarkofagach egipcjanek pokazują nam strojnisię XIII dynastji z włosami niebieskimi, albo złotymi, z pozłacanymi palcami, z licami różowymi a rzęsami zielonemi! Oczy ich są wydłużone kohlem, gwiazda na czole i na brodzie, dla większego wyróżnienia się. Znały one jeden sekret, później zaginiony: cudowną pomadę dla zmiękczenia włosów i przepis na „collyr“, tj. proszek, zamieniający ich brwi i rzęsy w zieloną, wiosenną trawkę. Nie zapominajmy także o czarnej obręczy naokoło oczu, czerwieni na policzkach, bieli tu i tam, o niebieskiej barwie do oznaczania żyłek, i karminie na usta. Cokolwiek także barwika „Henne“ na palce i paznokcie u rąk i u nóg. Gdy pomyślimy o tych wszystkich przyborach malarskich, dziwne nam się wydaje zacofanie naszego wieku udoskonalonej techniki i postępu.

Wykopaliska Herkulanum wydobyły na powierzchnię kosmetyki, które w owych czasach były przyrządzane z wodorostów morskich, a w Egipcie w grobowcach kapłanki Thais i sąsiednich kapłanek-taneczek wykryto czarki z czerwienią, miseczki z maściami, rurki z bielidłem, pokrewne tym, jakich używają nasze strojnisię. Sądzimy, że ówczesne zalotnisię nie wyparłyby się swoich prawnucek, które od nich zapożyczyły wiele sekretów.

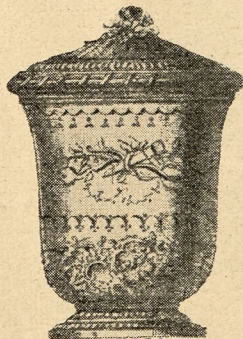
Kąpiel mleczna Poppei była wzorem dla kokieteryjnych zabiegów pani Tallien, która kazała się polewać i nacierać mlekiem, gdy się wynurzała ze swej sławnej kąpieli, zrobionej z soku malin i truskawek.



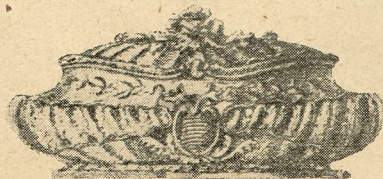
Lustro w stylu egipskim.



Puzderko do przechowywania „muszek“, zdobiących trojrzyczki pięknych pań z epoki XVIII wieku.



Emaljowany puhar do kosmetyków.



Srebrna puszka do kremów z epoki XVIII wieku.



Lustro z epoki tebańskiej.

Kąpiele szampańskie były w użyciu u ekscentrycznych zalotnic zeszłego stulecia, a kąpiele błotne z zapachem są wynalazkiem nowoczesnym, zaczerpniętym ze starożytności. Wszystko to jednak jest bardziej apetyczne, niż ekstrakt z odpadków krokodyla, a mniej przerażające, niż kocioł legendarnej czarnoksiężniczki Medei, która może wymyśliła kąpiel parową.

Zwyczaj malowania twarzy był wprowadzony do Francji przez włoski, dwórki Katarzyny Medycejskiej. Jej córka, Małgorzata de Valois, wprowadziła maskę z płatków świeżej cielęciny; nie wymyśliła jednak nic nowego, rozkazując obcinać jasne loki swoich paziów, aby pod ich splotami ukryć swoje czarne włosy. Rzymianki o wiele wcześniej kupowały warkocze od niewiast galijskich i słowiańskich, aby robić z nich peruki dla siebie. A zepsute lub szpetne zęby ukrywały pod blaszkami z kości słoniowej, przytwierdzonymi zapomocą cienkich złotych drucików. Niewiele jest nowego pod słońcem!

Piękne rzymianki, o wyniosłych piersiach, podtrzymywały każdą z nich okręconą naokoło wstążką. Nasze napierśniki ze wstążek są tylko słabem naśladownictwem tego, co już było.

Pod koniec w. XVII-go używanie szminek było tak dalece rozpowszechnione pośród pań wysokiego urodzenia, że nie ukazywały się one na ulicy bez różu i bielidła na twarzy. Muszki, kosmetyki, maście, pudry do włosów, ocy piękności, tak cenione przez elegantki z czasów Ludwika XV-go, przywędrowały aż do nas, jako sekrety i przepisy. Pani Dubarry zapłaciła bardzo drogo zagadkowemu czarodziejowi Ca-



Pani Dubarry, sławna piękność XVIII wieku, której najwierniejszą sojuszniczką była ówczesna kosmetyka.



Tak się „poprawia“ nature.

gliostro za pewną tajemniczą receptę piękności, byle tylko zachować świeżość i wdzięk.

A ileż to wdzięcznych, subtelnych drobnostek stworzono dla przechowywania tych sztucznych preparatów, pudełeczek drogocennych, słoiczków rżniętych w srebrze lub złocie przez sławnych artystów! Nic nie było zbytkiem, co tylko służyć miało do ozdoby gotowalni pięknej kobiety, pod jej wypieszczoną rączką, gotowe dla podniesienia jej wdzięku.

Za czasów Cesarstwa, zalotność Józefiny była znana. Smagła kreolka spędzała nieskończenie wiele czasu przed swem zwierciadłem, a ściany jej buduaru w Malmaison tak były przesiąknięte jej ulubionym zapachem piżma, że przed kilku laty, przy odświeżaniu jej apartamentu czuć go było jeszcze.

W naszych czasach zalotność zdobyła o wiele rozleglejsze pole, a szminkowanie, chirurgja estetyczna, stały się podobno zabawką. Można zmienić wygląd twarzy, kształt nosa, brodę, jeżeli przestanie się podobać... Zaszywa się w jednym miejscu, nacina w drugim, tnie się, naprawia, przeistacza... Glinę ludzką ugniata się nanowo w doświadczonych rękach.

Maski piękności sprzedaje się teraz, jako kremy białe i różowe, zamknięte w kosztownych puzderkach emaljowanych, klejnocikach rżniętych i lśniących, lub ukryte we flakonach o wdzięcznych linjach.

Niema już mowy o „masce dla męża“... ani o ekstrakcie z treści kaimana egipskiego. Dobry to znak dla naszego wieku. „Biedni“ mężowie mają zawsze wzrok olśniony... ich połowice są zawsze ładne... a ruch Wenery, pochylonej nad srebrnym strumieniem, odkrył nam wdzięki kobiece owego ranka gdy pyłek skrzydełka nieuchwytnego motyla zaróżowił jej kwiat-policzek.

Mary.

## Z CYKLU: „JAK DORABIAĆ“

*Świat kulinarny.*

Druga dziedzina życia, w której jest wiele kobiet wykwalifikowanych — to zakres prac kulinarnych. Dorabianie lub zarabkowanie na tem polu jest oddawna znane. Np.: prywatne stołownie, wydawanie obiadów, prywatna sprzedaż produktów spożywczych. Umiejętnie zorganizowane i prowadzone ucziwie (dobrze i bez chęci wyzysku), dają dochód. Znamy też wszyscy te kawiarnie „kresowe“, pozakładane w czasie wojny przez dzielne panie kresowe — kawiarnie, które się z czasem przeobraziły w duże zakłady gastronomiczne.

O znanych rzeczach mówić tu nie będziemy — natomiast o możliwościach, o rzeczach u nas nie znanych, lub mało rozpowszechnionych, które i u nas mogłyby się stać źródłem dochodu. Oczywiście i tu, jak i wszędzie, oprzeć się trzeba na znajomości i kompetentnie wykonać podjętą pracę. Oglądać się musimy, jak zwykle, za potrzebami rynku, nie wyrzekając się jednak własnej inicjatywy i pomysłów, które możnaby niejako narzucić.

Jedną z tych dziedzin mogłoby być prowadzenie *kuchen specjalnych*. Kuchnie jarskie już mamy. Mogłyby więc to być specjalne kuchnie *dietetyczne dla dzieci*, z uwzględnieniem nowoczesnych kierunków i stosowane indywidualnie do wskazań lekarza. Kuchnie dla osób *starszych lub chorych*, które mają zaleconą specjalną dietę lub kurację. Oczywiście, przygotowanie takich potraw i wydawanie ich można stosować w domu u siebie, stołując osoby zainteresowane, lub posyłając im potrawy do domu; wreszcie układając dla nich menu i pilnując wykonania. Ważne również jest umiejętnie *układanie jadłospisów* racjonalnych. Możliwość to robić dla pensjonatów, internatów, domów prywatnych, na pewien okres czasu, lub na dany sezon, w ramach określonego budżetu. Wreszcie, stosownie do danych okoliczności, bufety na zebrań, bale, rauty, przyjęcia delegacji, zjazdy, wesela, imieniny. Fachowa doradczyni, która udzielałaby porad za opłatą, mogłaby, szczególnie na prowincji, liczyć z pewnością na zainteresowanie i poparcie klienteli.

Ściśle z tem wiąże się: *robienie zakupów i porady* gospodarskie, np. zaopatrzenie spiżarni. Chodzi o ilość i jakość produktów i towaru, o źródła zakupów, o hurtowe dostawy. Wreszcie możnaby zorganizować *hurtowe zakupy* towarów dla detalistów. Takich prac może się podjąć osoba praktyczna, energiczna, oszczędna, znająca doskonale rynek, posiadająca zmysł handlowy i dar załatwiania interesów.

*Organizacja przyjęć*, zjazdów, wieczornic, wesel, przyjęć imieninowych i okolicznościowych, opracowanie ich drobiazgowo i umiejętnie — powinno odpowiadać również osobie bystrej, sprężystej, dobrej organizatorce, szczególnie zaprawionej do tego rodzaju prac w robocie społecznej. Często bowiem przy-

jęcia, zamiast sprawienia przyjemności gościom i domownikom, wywołują tylko niezadowolenie niewątpliwie dlatego, że są źle zorganizowane i nieobmyślane w szczegółach. A właśnie w tych okolicznościach należy przewidzieć wszystko.

Do tej kategorii zajęć możnaby wprowadzić jeszcze pewne *sezonowe lub okolicznościowe* prowiantowanie, przyjęte i uznane na Zachodzie. Np. przed przybyciem turystycznej wycieczki do danej miejscowości zorganizować dobry, niedrogi bufet, gdzie turysta mógłby się odżywić i zaprowiantować. W okolicach często zwiedzanych, gdzie są jedynie trzeciorzędne jadłodajnie, lub ubogie sklepiki — takie bufety mogłyby z pewnością mieć powodzenie. W Ameryce np. znana jest rzecz „sprzedaż przydrożna“. Polega ona na sprzedawaniu produktów, drobnych towarów norymberskich i piśmiennych na szlakach, uczęszczanych przez liczne wycieczki turystyczne.

Wreszcie *zamilowane gospodynie*, panie, umiające doskonale gotować, piec, smażyć, mogłyby i powinny wykorzystywać swoje zdolności w tym kierunku. Jest cały szereg potraw domowych, lubianych i poszukiwanych, wypieranych z rynków przez artykuły fabryczne, które, jako produkcja masowa, często nie mogą dorównać doskonałym wyrobom domowym. Można tu zaliczyć różne konfitury, jamy i marmelady domowe; torty, ciasteczka, pierniki i różne domowe ciasto, jak placki, bułeczki i chleby; konserwy owocowe i jarzynowe z Weck'a; marynaty, sosy, nalewki, soki i wina; sery i wędliny; wreszcie przeróżne słodkie smakołyki: cukierki, lody i kremy. Możliwość tu jeszcze zaliczyć, wkraczające w dziedzinę przemysłu, przetwórstwo mleczne i hodowlę pszczół, a co za tem idzie — miód i jego przetwory.

Oczywiście, dorabianie w powyżej przytoczonych dziedzinach powinno być, jak już zaznaczałam, ujęte w ramy pracy fachowej i odpowiedzialnej, wykonanej sumiennie, z inicjatywą, z uwzględnieniem braków i potrzeb miejscowego rynku. Tylko tak wykonana i podjęta praca dać może zadowolenie obu stronom: spóżywcy i wykonawczyni. *M. Dobrowolska.*

**W willi „Maciejka“**

**w Orłowie**

(nad morzem)

są jeszcze wolne pokoje na czerwiec  
i pierwszą połowę lipca.

**Pensjonat wykwintny i niedrogi, śliczne po-  
łożenie, pierwszorzędna kuchnia.**

Wiadomość: Orłowo, p. Kolibki Willa „Ma-  
ciejka“ — N. Czerwińska.

## O KONSERWOWANIU JAJ NA ZIMĘ

Właściwie konserwujemy jaja nietyle na zimę, co na późną jesień, gdy ich jest najmniej w handlu i są najdroższe.

Dobrze utrzymane kury już w końcu stycznia zaczynają nieść się obficie. Młode kurki, marcówki, nawet w listopadzie, zaraz po Wszystkich Świętych, poraz pierwszy znoszą jaja. Jest ich, niestety, nie dużo i, nawet u rasowych kur, są one dosyć drobne. Zwykle kury dorosłe, więcej niż jedno lato życia liczące, niosą się po dwa razy. Raz wczesną wiosną, bardzo obficie i bardzo długo (o ile kura nie siedzi na jajach — niesie się do trzech miesięcy). Potem jest mała pauza i w czasie żniw następuje drugi perjod niesienia się, trwający nieco krócej. Ku jesieni kury zaczynają zmieniać pierze; naprzód tracą stare, le nieją, następnie obrastają nowem, gęstszem, zimowem i w tym czasie zupełnie nieść się przestają.

Nasiadki niosą się poraz drugi po odchowaniu piskląt, których wodzenia, po zniesieniu pierwszego nowego jajka, zwykle zaprzestają.

Mówię tutaj o zwykłych kurach, takich, jakie są u nas trzymane po chatach i po dworach, gdzie się nie zajmują specjalnie chowem drobiu gatunkowego.

Są gatunki kur o wiele nieśniejszych. Są nawet takie, co wogóle nie są zdolne do wysiadywania potomstwa i żadnej chęci siedzenia na jajach nie wykazują, pozostawiając tę czynność, że tak powiem, zawodowym kwokom.

Różnica ich nieśności i nieśności kur zwykłych jest olbrzymia: gatunkowe znoszą przeszło 200 sztuk jaj w ciągu roku; te drugie, mierne, sześćdziesięcioma do siedemdziesięciu kontentować się muszą.

Oczywiście, te piękne a leniwe panie potrzebują innego pielęgnowania, innych wygod, za co płacą tą większą nieśnością i większą dochodowością. Jaja ich, zniesione późną jesienią, lub wczesną zimą, są kilkakrotnie droższe i nadzwyczaj poszukiwane.

Ponieważ jednak hodowla ras nieśnych jest u nas jeszcze mało rozpowszechniona, na rynkach miejskich spotykamy przeważnie nieduże jaja kurek włościańskich, przynieszone na targ przez ich właścicielki, lub, częściej, przez kobiety, trudniące się zawodo-wo skupem jaj po wsiach.

Mamy, po miastach, obecnie najwięcej jaj tak zwanych skrzynkowych. Jaja te, skupywane w odległych od kolei miejscowościach kraju, zwożone do centrali skupu, pakowane w duże, płaskie skrzynie (po 1440 sztuk w każdej), z natury rzeczy nie mogą być bardzo świeże. Zbyt dużo czasu zajmują różne manipulacje, związane z ich skupem, zwozem, opakowaniem i dostawą. Do potraw jednak są one zupełnie dobre. Natomiast należy się wystrzegać przed ich konserwowaniem na czas dłuższy.

Muszę tu jeszcze zrobić uwagę, że dużą część tych jaj pakowych, czy skrzynkowych, dostarczanych do miast zimą, stanowią jaja już przechowywane od lata, jaja wapnowane.

Zewnętrznie mało się one różnią od jaj świeżych. Nawet dopiero co wyjęte z konserwy, to jest z rozmoczonego wapna, mają śliczny, różowawy kolor jaj świeżych. Skorupka ich jednak, przeżarta przez wapno, jest tak delikatna, że jaja takie wcale gotować się nie dają. W zetknięciu z gorącą wodą natychmiast pękają, nie można ich więc użyć ani na

miętko, ani na twardo. Do smażenia, do potraw i do ciast doskonale używać ich można, bo nawet pianka z ich białek ubić się daje. Trwa to jednak niedługo. Po dniach kilku białko rzednie, żółtko nabiera specyficznego, jakby lekko-kwaskowego smaku. „Wapniaki“ więc, po wyjęciu z lasowanego wapna, którem były zalane, należy użyć wszystkie w ciągu dni kilku.

To też konserwowania w wapnie domom prywatnym nigdybym zalecić nie mogła.

Zanim przejdę do innych sposobów konserwowania, muszę zaznaczyć, że przechowywać można tylko jaja bardzo świeże, najlepiej na drugi, najwyżej na trzeci dzień po zniesieniu.

W mieście, nie mając kur własnych, a zatem nie mając dokładnych danych co do świeżości kupionych jaj, konserwując je nawet w najlepszy sposób, zawsze narażamy się na niepowodzenia.

Jeszcze jaja konserwowane „na mokro“ (w szkle wodnem) nie psują się tak łatwo, lecz przy wszystkich innych sposobach jaja, choćby trochę zepsuta, psują się dalej pod hermetycznie zamkniętą skorupą, nawet prędzej, niż pozostawione bez warstwy ochronnej.

Konserwowanie jaj polega na chronieniu ich od wpływów zewnętrznych, mogących wnieść do nich rozkład, i od usychania wewnętrznego.

Najgorszym nieprzyjacielem jaj jest wilgoć. Jaja, przechowane w miejscu suchem, przewiewnem, leżeć mogą miesięcy parę, nie zmieniając smaku, nie psując się. Co najwyżej białko w nich stopniowo usycha i robi się pusta przestrzeń pod skorupką. Jaja, nawet pokryte warstwą ochronną, postawione w wilgotnej piwnicy, łatwo się psują. Zjawia się w nich ciemny punkcik, szybko się rozrastający, jajko tęchnie, staje się nie do użycia.

Najlepszym, zdaniem mojem, sposobem przechowywania jaj jest zalewanie ich szkłem wodnem, w stosunku jednej części szkła wodnego do sześciu a nawet siedmiu części przegotowanej i ostudzonej wody. Jaja takie w kamiennych garnkach, lub szklanych słojach, zawsze są gotowe do użytku i w miarę potrzeby z naczyń tych brane być mogą.

Można też świeże jaja przecierać starannie sztuka za sztuką w rękach, posmarowanych wazeliną, uważając, aby wszędzie były nią pokryte. Przechowywać je należy w suchym miejscu w zgoninach owsiannych (plewach), doskonale wpierw w piecu wysuszonych.

Tak samo można na sucho smarować jajaystem szkłem wodnem, osuszając je na specjalnych drewnianych lub drucianych podstawkach.

Ponieważ jednak wszystkie sposoby przechowywania jaj nie działają na całe lata, lecz tylko na miesiące — dobre gospodynie wiejskie starają się zużyć jaja wiosenne, konserwowane którymkolwiek z tych sposobów, w ciągu jednego lata i wczesnej jesieni, dopóki kury się jeszcze niosą. Natomiast właśnie te letnie i jesienne jaja, mniej liczne, przechowują starannie na późną jesień i zimę.

Pani Elżbieta.



## OBIADY DLA PRACUJĄCEJ INTELIGENCJI

(NA 5 OSÓB)

### OBIAD JARSKI.

*Zupa kalafjorowa.*

*Makaron domowy zapiekany z grzybami — sos grzybowy.*

*Kompot-surówka z sezonowych owoców.*

Dwa duże kalafjory (mogą być niezbyt ściśle, zawsze znacznie tańsze) oczyścić starannie. Najładniejsze różyczki przechować w zimnej wodzie, gorsze części i głąby nastawić w dwóch litrach wody wraz z marchewką, pietruszką, cebulą i kawałkiem selera. Gdy jarzyny zmiękną, wyjąć je, marchewkę odrzucić, a białe jarzyny przetrzeć wraz z kalafjorami przez rzadkie sito lub przepuścić przez maszynkę. Włożyć napowrót do smaku, osolić, zaprawić łyżką masła i łyżką mąki. Zagotować raz. W wazie mieć rozbite dwa żółtka z trochę siekanego koperku. Wlać kilka łyżek zupy, rozbić z żółtkami, potem dolać resztę i podawać.

Można do tej zupy dodać grzanecki z pszennego chleba, skropione masłem, posypane ostrym serem i podsuszone w piecu.

Pół kilo mąki zagnieść z dwoma jajami, łyżeczką soli i wodą na twarde ciasto. Potrzymać godzinę przykryte miską. Rozwałkować jaknajcieńiej, pokrajać w cienkie kluseczki, nieco obsuszyć, ugotować na osolonym wrzątku, odcedzić, przelać zimną wodą.

Ugotować trzy deka grzybów suszonych lub trzydzieści deka świeżych. Gdy miękkie, pokrajać w paski, przesmażyć w łyżce masła z drobno pokrajaną cebulą, dodać do makaronu wraz z dwoma białkami, pozostałymi od zupy. Wymieszać. Osolić do smaku. Formę tortową, lub płaski rondel wysmarować masłem, wysypać bułeczką, ułożyć makaron, dobrze ucisnąć, zapiec w piecu do ładnego zrumienienia. łyżkę mąki zasmażyć w łyżce masła, rozprowadzić smakiem od grzybów (nie mniej od dwóch szklanek), zagotować, osolić do smaku, dodać półkwaterek śmietany. Raz zagotować razem. Makaron wyłożyć na półmisek. Sos podać oddzielnie w sosjerce.

Owoce sezonowe: poziomki, truskawki, maliny, drylowane wiśnie, pokrajane śliwki, melon, gruszki lub jabłka — przesytać obficie cukrem i potrzymać przez noc na chłodzie. Kilo owocu starczy obficie na pięć osób. Owoce można używać każdy gatunek oddzielnie, lub kilka razem zmieszanych; kawałek melona, drobno pokrajany, dodany do takiej surówki, ogromnie jej smak podnosi.

*Pani Elżbieta.*

## PRZEPISY GOSPODARSKIE

### SLEDZIE W ŚMIETANCE.

Przepis dobry na wieś i na letnisko, gdzie nie zawsze można dostać śledzi w lepszym gatunku, ani świeżej oliwy. Dobrze wymoczone śledzie obrać z ości i skórki. Odrzucić łby i ogonki, ułożyć w słoju lub na salaterce. Mleczko śledziowe przetrzeć przez sito, rozprowadzić kwaterką gęstej śmietanki (na 5 do 6 śledzi); jeśli jest, weisnąć trochę soku cytrynowego, lecz to niekonieczne. Na śledzie położyć listek, kilka ziarn

pieprzu i ziela, trochę cienko skrajanej skórki cytrynowej. Zalać śmietanką, przycisnąć denkiem lub talerzykiem, na to ciężarkiem. Wynieść na chłód. Podając, polać sosem, który się uformuje. Do takich śledzi młode kartofle z masłem i koperkiem lub pietruszeczką.

### WĄTRÓBKA CIEŁĘCA W MADERZE.

Kilo wątróbki wymoczyć w zimnej wodzie, ściagnąć z niej błonkę, jeszcze dobrze wycisnąć w wodzie, aby wszelką krew usunąć. Zrumienić dziesięć deka masła z dużą, drobno posiekaną cebulą, dodać dziesięć deka drobno pokrajanych pieczarek, jeszcze chwilę smażyć razem. Wątróbkę pokrajać na równe, niegrube plastry. Położyć na masło, prędko z obu stron zrumienić, przykryć pokrywą i dusić wolno około dziesięciu minut. Dopiero teraz posolić. Oprószyć małą łyżeczką mąki, wlać spory kieliszek madery i pół szklanki rosółu lub wody z rozpuszczoną w niej kostką buljonową. Zagotować raz tylko, aby wątróbka nie stwardniała. Podać zaraz z ryżem na sypko, lub purée kartoflanem.

### SZNYCLE CIEŁĘCE, SZPIKOWANE.

Piękny, równy kawałek cielęciny od dyszka (wagi około trzech ćwierci kilo) pokrajać na pięć równych płatów. Zbić dobrze tłuczkiem, lub młotkiem do mięsa, nadając sznycłom możliwie jednakowy kształt. Pozostawić tak na godzin parę, aby się mięso uleżało: smażone natychmiast po wybiciu, kurczy się nieładnie. Dziesięć deka wędzonej słoniny pokrajać w cienkie paski i naszpikować nimi sznycele, przekłuwając je nawskroś. Przed smażeniem posypać lekko mąką i smażyć na obfitym smalcu. Solić dopiero wtedy, kiedy z obu stron się zrumienią, a to w celu zachowania białości mięsa. Gdy rumiane, przykryć patelnię pokrywą, aby dobrze wewnątrz doszły. Tymczasem zrobić purée kartoflane, lub ugotować na sypko piętnaście deka ryżu. Na kartoflach lub na ryżu ułożyć sznycele. Na pozostały na patelni tłuszcz wlać filiżankę wody i wcisnąć sok z pół cytryny. Zagotować ostro, miesząc łyżką, aby pozostały po sznycłach sos odstał od patelni. Sosikiem tym polać sznycele i ryż. Można też zamiast cytryny włożyć do sosu dobrą łyżkę kwaśnej śmietany.

### GŁOWIZNA WIEPRZOWA NAPRĘDCE.

Łatwe, tanie danie, zastępujące na letnisku wyroby miasarskie. Jedną nogę wieprzową, ucho, kawałek podgardla, ozyrek i kawałek przerastającego boczku (razem około dwóch kilo wieprzowiny) zalać trzema litrami wody, włożyć cebulę, listek, kilka ziarn pieprzu i ziela i gotować wolno, szumując. Gdy zarze, włożyć marchew, pietruszkę i kalarepkę, albo kawałek młodej kapusty. Skoro jarzyny zmiękną, wyjąć je wraz z cebulą i użyć na co innego. Wieprzowinę gotować bardzo wolno, tak długo, aż nietylko od kości odstanie, lecz nawet zupełnie się rozpadnie. Rosółu nie powinno być więcej nad jeden litr. Mięso pokrajać w drobną kostkę, wymieszać na misce z rosółem. Osolić do smaku. Nieco popieprzyć. Przełożyć do formy od keksu, lub do wąskiej blaszanej foremki do placków. Wynieść na chłód, do lodowni lub piwnicy. Następnego dnia da się ślicznie krajać w cienkie plastry, jak salceson. Podawać do tego chrzan z octem, musztardę, lub sos tatarski.

*Zabierz radjo na letnisko —  
Będiesz miał stolicę blisko.*

### KURCZĘTA SMAŻONE.

U nas, w Polsce, podają przeważnie kurczęta pieczone, duszone, lub w potrawce. Wyborna kuchnia wiedeńska używa natomiast prawie wyłącznie kurcząt smażonych. Można użyć na to kurcząt już ugotowanych, jak na rosół, lub też surowych. W tym ostatnim wypadku bierze się kurczęta bardzo młode, krając je wzdłuż na połówki, lub, gdy są nieco większe, na ćwiartki. Kawalki kurcząt lekko posolić i, o ile się da, usunąć z nich kość piersiową. Nóżki i skrzydelka ładnie podwinąć i podsunąć pod skórę. Wątróbki i żołądki podsunąć pod deseczką, kurczęta osolić, ułożyć na deseczce, przycisnąć drugą deseczką i ciężarkiem. Dać tak poleżeć godzin parę. Wyjąć z pod prasy, osączyć ze zbytnej wilgoci, utarzać w mące, rozbitym jajku i bułeczce i smażyć wolno w bardzo obfitym szmalcu. Gdy się ładnie zrumienia, wstawić wraz z patelnią lub brytfanną na kwadrans do piecyka. Powinny być dobrze przesmażone, aż chrupiące. Przełożyć na wygrzany półmisek. Na pozostałym szmalcu prędko usmażyć kilka gałązek zielonej pietruszki. Ubrać nią półmisek, wkoło obłożyć ćwiartkami cytryny i bardzo gorące podawać. Do nich może być salata głowiasta z cytryną i oliwą.

### KURCZĘTA ZE SMAKIEM ZWIERZYNOWYM.

Wybrać nieduże, ale mięsiste kurczęta, mające dobrze rozwiniętą pierś a krótkie uda. Oprawione, jak do pieczenia, natrzeć mocno kilkunastu ziarnami jałowca, drobno utłuczonymi i zmieszanimi z igłami jodłowemi. Osolić, włożyć do garneczka, wsypać jeszcze mieszaniny jałowca, przycisnąć talerzem, zostawić tak do dnia następnego. Nazajutrz mieszaninę tę odrzucić, kurczęta naszpikować słoninką i upiec na maśle. Gdy się ładnie zrumienia, poproszyć łyżeczką mąki i polewać śmietaną, aż dojdą. Można do śmietany dodać trochę pieprzu lub imbiru. Podawać obłożone grzankami z bułki. Do nich kompot lub borówki.

### KALAFJORY SMAŻONE.

Kalafjory obgotować w osolonym wrzątku, uważając, aby tylko straciły surowiznę, lecz nie zmiękły zupełnie, gdyż rozmiękłe kalafjory nie dałyby się usmażyć. Odląć na durszlak lub przetak, przelać zimną wodą, osączyć dobrze na płótnie lub sicie. Podzielić na różyczki rozmiaru dużego, włoskiego orzecha. Utarzać w mące, następnie w rozbitym jajku, na koniec w tartej bułeczce. Natychmiast smażyć w rozpalonym szmalcu lub wołowej fryturze. Powinny pływać, tak, jak pączki. Kiedy się lekko zrumienia, wyjmować durszlakową łyżką. Osączyć ze zbytnej tłuszczu na szarej bibule. Ułożyć w piramidę na półmisku, pokrytym serwetą. Podać z cytryną, pokrajaną w podłużne ćwiartki.

### KOTLECICKI JARZYNOWE.

Młodą marchew, gorsze kalafjorki, kilka kalarepek, korzonek pietruszki ugotować w rosole, lub na smak do zupy. Razem powinno być tych jarzynek około trzech ćwierci kilo. Osączyć, ostudzić, usiekać drobno. Wbić jedno duże, lub dwa małe

jaja surowe, wsypać tyle tartej bułeczki, aby można było z tej masy formować kotleciki. Dodać garstkę usiekanego koperku, lub, kto woli, trochę galki muszkatolowej, osolić do smaku. Robić nieduże kotleciki, utarzać w mące, w rozbitym jajku (może być samo białko), na koniec w tartej bułeczce. Smażyć na szmalcu lub na maśle. Przewracać bardzo ostrożnie łyżką, aby się nie pokruszyły. Po przełożeniu na półmisek poleć sosem białym, koperkowym, lub czystym pomidorowym. Podać do nich młode kartofelki, lub salatek głowiastą z cytryną i oliwą. Na takie kotlety można użyć wszelkiego rodzaju jarzyn, za wyjątkiem buraków, pomidorów i starych kartofli.

### JAM (DZEM) TRUSKAWKOWY.

Truskawki, przeznaczone na dżem, podzielić na dwie części. Gorsze, drobniejsze, brzydsze, złożyć do garnka, przykryć pokrywą, upiec w piecu po chlebie, lub pod blachą w czasie gotowania obiadu, poczem przetrzeć przez niezbyt gęste sito. Na kilo truskawek — ładnych i brzydkich, razem ważonych — brać kilo cukru. Drugą część, czyli ładne truskawki, ułożyć w miedniczkę, przesypując cukrem, skropić wodą, tylko w takiej ilości, aby cukier się od razu nie przypalił. Smażyć wolno, żeby sok z truskawek uformował z cukrem dostateczną ilość syropu. Gdy truskawki już nawpół usmażone, dolać przetartą masę z upieczonych truskawek i dosmażać prędko na silnym ogniu, jak galarete. Szumować dopiero pod koniec, gdy dżem prawie gotów. Skoro owoc będzie przezroczysty, zlewać gorącą konserwę w dobrze wygrzane słoiki; nazajutrz dopiero zawiązywać je błoną celuloidową (krajowego wyrobu). W taki sposób smażony dżem ma kolor ładniejszy od smażonego zwykłym sposobem.

Pani Elżbieta.

## KORESPONDENCJE

*P. Aniela Krysovska w Gródku Jagiellońskim.* — Wermiszel jest to najdrobniejszy makaron kupny. Serem ostrym nazywamy sery starsze, mocno sfermentowane i suche. Może to być więc ser litewski, tyłżycki, trapistów i t. p. Sery te, używane po utarciu do potraw, może zastąpić zwykły ser zielony, żółty. Z serów zagranicznych ostrych najbardziej znany jest parmezan (bardzo kosztowny). Zarówno wermiszel, jak i sery, zdane do tarcia, sprzedają wszystkie handle kolonjalne, a nawet drobne sklepy spożywcze w najmniejszych miasteczkach.

*Czytelniczce z Zagłębia.* — Uniwersalnego środka na powstrzymanie wypadania włosów i na łupież niema, albowiem są to tylko przejawy jakiegoś cierpienia skóry głowy, włosów, a może nawet i jakiegoś niedomagania wewnętrznego. To też za każdym razem należy zbadać skórę głowy, włosy, a nawet i stan ogólny. Jakkolwiek dziś już nie ma Pani widocznych objawów cierpienia tarczycy, jednak może być jeszcze jakaś sprawa, przebiegająca skrycie. Należałoby więc zwrócić się do lekarza-specjalisty chorób włosów, by po dokładnem zbadaniu określił przyczynę, a wówczas dopiero zastosować odpowiednią kurację.

## WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł., kwartalnie — 15 zł., rocznie — 60 zł.  
Do innych krajów miesięcznie — 6 zł. 40 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9.  
Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.  
Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „Bluszcza”. Rymarska 8, tel. 244-18.